

Odrama

WYDAJEMY W KATOWICACH, WROCŁAWIU
I SZCZECINIE SZESZCZDZIESIĄTYPIĄTY
NUMER TYGODNIKA LITERACKO-SPOŁECZ-
NEGO „ODRA”

Dnia 23 lutego 1947.
Rok wydawnictwa trzeci.



Kazimierz Herz

Duch kresowości zachodniej

Nie tylko dlatego, że na Zachodzie zawsze będziemy sąsiedziwać z Niemcami, potrzebny jest nowy typ Polaka na Ziemiach Odzyskanych. Nie tylko dlatego, że musimy tu być trzeźwi i odważni. — Ziemię Odzyskaną winny być teatrem wielkiego eksperymentu narodowego, dążącego do przebudowy a gdzie trzeba będzie, także i do przemianowania psychiki narodowej. Z tego też punktu widzenia Ziemię Odzyskaną stają się ważnym problemem wychowawczym, naczelnym w geografii naszej polityki wychowawczej. Sąsiedztwo z Niemcami i osobliwość polityczna, jaką długo jeszcze w oczach Niemców będą nasze Ziemię Odzyskaną, to pierwsze zatem momenty warunkujące powstanie tutaj nowego typu Polaka. Do dalszych momentów zaś zaliczymy ową szczególną sytuację

Ziem Odzyskanych w ogólnym obrazie Polski jako ziemi nowej, dziewiczej, którą wypełnić możemy swobodnie treścią nową, mniej zdolną do przyjęcia się na terenach dostatecznie już treścią narodową od setek lat zabudowywanych.

Niech zachodniość nasza będzie romantyczniejsza ponad wszelki wroga. Niech zachodniość nasza będzie romantyczniejsza ponad wszelki wroga. Niech będzie samą polityką, w boju i w czas pokoju, ale i samą poezją, gdy przemawiać będzie do braci wokół. Te słowa głosił kiedyś Związek Polaków w Niemczech (r. 1938) w jednym ze swoich pism, a dziś śmiało je można przyjąć za motto do naszego artykułu.

ZALANIE WYCHOWAWCZE

Sprawa Ziem Odzyskanych — to problem nie tylko historyczny, polityczny, administracyjny, ekonomiczny, kulturalny czy nawet etyczny, ale w równie doniosłej mierze problem wychowawczy. Problem, jak dotąd, w całej swej pojęciowej rozpiętości i historycznie ideowej głębi, a więc w swej najistotniejszej osnowie, bodajże nie sformułowany jeszcze.

Należy z miejsca przestrzec przed nieporozumieniem. Prowadzona przez państwo na szeroką, nieznaną dotąd w naszej historii skalę akcja repolonizacji Ziem Odzyskanych jest co najwyżej wstępny, materialny fragment tego zagadnienia. Ma na celu szybkie, dyktowane najwyższymi interesami narodowymi, państwowymi i politycznymi wypełnienie i ożywienie żywą, importowaną i lokalną polskością olbrzymiej pustyni narodowej, wytworzonej na odrzańskich ziemiach przez siedem wieków tragicznej niewoli. To — żywiołowy import trzeźwej krwi polskiej na wypalone ogniem nienawiści rasowej tereny, to misyjna, eksploacyjna wyprawa, wygrzebująca wraz z materialnymi śladami pomników polskiej przeszłości każdą zachowaną przy życiu polską duszę tej ziemi. Ale przetrzuty na zachód repatriant i odzyskany dla polskiego zachodu autochton nie wyczerpują jeszcze pełnego pojęcia Polaka Ziem Odzyskanych. Polaka takiego jeszcze nie ma! Trzeba dopiero skonstruować za pomocą mózgu i serca jego ideał, trzeba nakreślić w zarysie i szczegółach jego kształt duchowy i, jako nowy, wzbogacający, do życia obywatelskiego niezbędny element składowy, wcielić w polską psychikę i w polskie ciało. A to wchodzi w zakres dziedzin — wychowania. Dlatego bój o Polaka Ziem Odzyskanych musi potoczyć się tożyskim procesem wychowawczym. Klóci się z duchem wychowawczego działania militarny, niespokojny termin — bój... Użyć go tu jednak wypada świadomie, by raz i swym gorącym dysonansem, by w ideę celu wnosił zaczyn niezbędnych, historycznie koniecznych osiągnięć.

Nigdy może przedtem polska myśl pedagogiczna nie stała w obliczu równie osobliwego i podobnie naglącego swą koniecznością i wagą dziejową zadania.

Wychowanie splata się z historią na przestrzeni całych wieków. Między jego drogami, postulatami i ich realizacją a dziejami i społeczno-ideologiczną ewolucją narodu istnieje ścisły i głęboki stosunek zależności. Polski ideał wychowania rycersko-patriotycznego z całym splotem swych zalet i ułomności wyrósł z dziejowego podłoża polski szlacheckiej. Wiek Oświecenia przyniósł reformę Komisji Edukacji Narodowej,

zarysowując ideę wychowania obywatelskiego. Okres zaborów i Wielkiej Emigracji stał się kolebką romantycznych ideałów i haśleń niepodległościowych, które po klęsce styczniowej i bankructwie mesjanistycznych złud i uniesień utworowały, prawem antytezy, drogę polskiemu realizmowi z pozytywizmem u jednego i konserwatyzyzmem galicyjskim u drugiego skrzydła politycznej i wychowawczej myśli współczesnej. Urealniona idea niepodległościowa w wychowaniu odżyła ponownie na przełomie XX wieku w ideologii polskiego socjalizmu i polskiego ruchu narodowego, by wreszcie w latach niezawisłego i odradzającego się już państwa skierować cały pedagogiczny wysiłek ku wychowaniu obywatelsko-państwowemu.

Drugie zmartwychwstanie stawia Polskę w obliczu doniosłych przeobrażeń historycznych, zarówno materialnych jak i ideowych. W dziedzinie wychowania i edukacji narodowej przełom ten musi wywołać głębokie następstwa. Rewindykacja Ziem Zachodnich nie wyczerpuje swą przeobrażeniową treścią polskiego problemu wychowawczego doby obecnej, ale stanowi jego niezwykle istotną część. Właściwe, konsekwentne i zgodne z duchem dziejowej przemiany rozwiązanie tego problemu winno wnieść w dorobek polskiej myśli i tradycji wychowawczej nowe, trwałe i cenne pierwiastki.

POD tytułem „Jaki los spotka Łużycę“ katolicka czeska „Lidova Demokracie“ z 14 stycznia br. umieszcza interesujący artykuł, z którym warto się zapoznać:

„Nad Łużycami unosi się znak niepewności. Na grudniowym słowiańskim zjeździe w Belgradzie nie padło ani słowo o Łużycach. Do zjazdu nie byli nawet dopuszczeni przedstawiciele tego najmniejszego słowiańskiego narodu. Delegacja wysłana przez Łużycką Radę Narodową nie była dopuszczona do udziału w zjeździe pod pretekstem, że tylko „Domovina“ ma prawo do udziału w zjeździe, a delegacja „Domoviny“ ze względów technicznych nie mogła zdążyć. I tak pierwszy powojenny zjazd słowiański nie wziął w ogóle pod uwagę istnienia narodu łużyckiego. Zrozumiałe, że decydowały tu pewne powody polityczne. Zresztą zjazd belgradzki był raczej zjazdem państw niż narodów. Łużycy nie są państwem i dlatego jest moc niejasności w ich przyszłych losach.

Dzisiejsza sytuacja Łużycy jest nieprzychylna. Łużycy należą do strefy okupacyjnej sowieckiej. Jak zauważył polski publicysta W. Kochański w „Przeglądzie Za-

TEORIA MÓZGOWA I PRAKTYKA SERCA

Związek ziemi z człowiekiem i z narodem nie da się mierzyć miarą wyłącznie materialnych więzów i dostrzegalnych, żyjących i żywych konkretów. W wyniku wiekowych procesów niszczenia, przemieniając się stopniowo w proch i w pył, i wsiąka powoli w abstrakcję. Wyrasta wreszcie pokolenie, oddzielone od własnej ziemi rzeczywistością zapomnienia i fałszu, — i plemiennego związku z tą ziemią już nie odczuwa. W obliczu zaś odzyskanego naraz dziedzictwa staje oszołomione i sercem nieczułe, jak syn przed nigdy nie widzianym ojcem. Nasz uczuciowy stosunek do ziem odrzańskich przełamała okrutnym ciężarem obcości siedmsetletnia przeszłość. Można ją przeżyć łatwo w jakimś cudownym, natchnionym, chwba z posiewu krwi przodków promieniującym olśnieniu, w jakimś atawistycznym powidoku, w jakimś objawiającym prawdę odczucia skrócie psychicznym. Ale to krótki moment tylko, który wystarczy jedynie, by rozum skierować ku właściwej, historycznej konkluzji. By wypełnić tę przeszłość nie tylko odkryjemy rozumem, lecz żywym uczuciem ją zalać, na próżno by szukać w sobie takiej siły. Brak nam jakby jakiegось zmysłu psychicznego, a zdolność odczucia naszego odziedziczonego związku z tą przeszłością nie mie-

chodnim“ władze sowieckie nie miały żadnych wskazówek co do postępowania wobec Łużyczan. Łużycki problem dla nich urzędowo nie egzystuje, a Łużycę traktowane są według tych samych przepisów jak inne części strefy

jańsko-demokratyczna obiecywała Łużyczanom pewne prawa mniejszościowe, aczkolwiek jej przywódca Kaiser na zjeździe w Zgorzlecu zaprzeczył istnieniu jakiegokolwiek mniejszości łużyckiej w Niemczech, a jednostkom przyznającym się do tej narodowości radził przesiedlić się do Polski lub Czechosłowacji(!). Podczas agitacji przedwyborczej uwidoczniła się różnica zdań między Domovinou a Łużycką Radą Narodową. Domovina radziła popierać partię jednności socjalistycznej (SED) podczas gdy Rada zalecała powstrzymanie się od głosowania. Niemcy w ostatniej chwili przesu- nęli łużyckich kandydatów na dalsze miejsca, miała więc rację Rada Narodowa Łużycka, gdy doradzała niegłosowanie. Przewodniczący tej Rady wydał odezwe, w której mówi, że Łużycanie są odrębnym narodem i nie mogą uznać nad sobą żadnej władzy, nie uznają saskiego sejmu i dlatego nie głosują. Łużycka Rada Narodowa wybrała zdaje się słuszną drogę, podczas gdy Domovina pod naciskiem politycznym zrezygnowała z aspiracji łużyckich. Rozterka między Domovinou a Radą pogarsza więc sytuację Łużyczan, która jest niepomysł- na.“

okupacyjnej. To wykorzystali wnet Niemcy, którzy Łużyczan przedstawiają jako faszystów, gdy sami ubierają się w togi demokratów, antyfaszystów i wrogów Hitlera. Sytuację im ułatwia to, że mają w swym ręku większość stanowisk w administracji.

O tym jak były przeprowadzone w zeszłym roku wybory na Łużycach wspomina w „Słowiańskim Przehledzie“ prof. Frinta. Zwraca on uwagę na to, że nie dopuszczono do wystawienia odrębnej listy łużyckiej i Łużycanie mieli do wyboru między dwiema listami niemieckimi, z których partia chrześci-

ści się w naszej okaleczonej psychice. Konfrontacja z radosną prawdą układa się nie w dźwięki, co sercem szarpia, lecz w tekst historycznego komunikatu, który wciska się do mózgu teorią:

Zadaniem wychowania narodowego będzie wypełnić tę siedmiowiekową pustkę i nieobecność Ziem Zachodnich w polskiej duszy nie tylko teorią mózgową, ale równocześnie i przede wszystkim praktyką serca, witalną mocą odczucia historycznej spójni z tą przeszłością.

DUCH KRESOWOŚCI ZACHODNIEJ

Zadanie to dyktuje w swoim efekcie — postulat rekonstrukcji psychiki polskiej, włączenie w nią zagubionych lub nierozwiniętych w tragicznym niedorozwoju naszej historii pierwiastków duchowych, wszczepienie w krew i ciało Polaka ducha a prawdzie w kresowości zachodniej. Jest to problem wychowawczy i psychologiczny zarazem, stawiający realizację niezwykle wielkie wymagania, którym podołać może jedynie głęboko świadoma, planowa i wytrwała, obejmująca całą naród praca wychowawcza szeregu lat, być może pokoleń. Tę pracę trzeba podjąć natychmiast. Wydrążoną przez długie stulecia pustką zachodnią w duszy polskiej trzeba starannie i bez reszty zapłombować polskością nie z gipsu i z fasady, lecz

z najszałchetniejszego materiału, polskością pełniejszą, wszechstronniejszą i trwalszą od naszej dzisiejszej polskości.

Nie wolno się łudzić, że cel ten stanie się samorodnym skutkiem toczącego się procesu repolonizacyjnego. To nie tylko zagadnienie regionalne i bieżący problem Ziem Odzyskanych. To zagadnienie ogólnonarodowe i problem polskiej duszy, który rozprowadzić trzeba w przestrzeni na całą Polskę, a w czasie na przyszłość całą. Ten proces wychowawczy nie może mieć nic wspólnego z improwizacją i doraźnością, nie może rozwijać się pod dyktandem pośpiechu i naglących, najpilniejszych potrzeb. Jego dążenia nie mogą ograniczyć się do formowania drużyn, ruszających na podbój administracyjny, ekonomiczny i kulturalny ziem nowych, do tworzenia pionierskich ekip, uzbrojonych w praktyczny katechizm postępowania, który po trosze Baedekera przypomina lub przewodnik po górach. Środków realizacyjnych tego procesu wychowawczego nie zastąpią najpożyteczniejsze nawet kursy, zjazdy, publikacje czy reportaże prasowe. Nasz dziejowy powrót nad Odrę i Nysę nie może mieć bowiem nic wspólnego z hodowlą pamiętnych „kulturträgerów“, którzy z wycuczoną regulaminem szli na swój zaszczytny „osteinsatz“.

Tereny odzyskane muszą stanowić drugie tworzywo tego dwukierunkowego procesu. Przejmować duchowo tę ziemię i uroczyście ją w siebie wchłaniać, przetwarzać w swej wchłonie jej los i niewypełnienie jej posłannictwa wieków — po to, by po nasyceniu się jej uśpioną dynamiką polskości przepoić ją swoją polskością najlepszą i już wzbogaconą — oto mistyczny, lecz niemiernie realny i najpełniejszy związek człowieka z ziemią, obopólny wzajemny proces tworczy.

W procesie tej duchowej symbiozy musi wziąć udział cały naród, by jej zdobycze wcielić w narodową duszę, by dzięki nim i z nich ukształtować, wychować i stworzyć nowy typ Polaka, Polaka Ziem Odzyskanych, bojownika i realizatora polskiej sprawiedliwości dziejowej, polskiej racji stanu i polskiego postar-

PIERWSZE KROKI I NOWY TYP WYCHOWANIA

Oceniając ze stanowiska wychowania narodowego pierwsze skutki zetknięcia się z nową rzeczywistością Ziem Odzyskanych, trudno powstrzymać się od cierpkich uwag i samooskarżeń. Ten akt sprawiedliwości dziejowej obnażył rażąco ułomności polskiego społeczeństwa powojennego. Uka-

(Dokończenie na str. 2)

Chłopska ziemia

Twarde i trudne były warunki życia mas chłopskich w Polsce międzywojennej.

Niesprawiedliwy podział ziemi, wyrażający się — według „Małego Rocznika Statystycznego” z 1939 r. cyfrą blisko dwóch milionów gospodarstw karłowatych na przeszło trzy miliony (dokładnie 3.196 tysięcy) gospodarstw większych spowodował, że w każdym takim gospodarstwie chłopskim, gdzie natomiast przyrost naturalny kształtował się w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do podstaw egzystencji rodziny chłopskiej, pewna liczba osób dorosłych i dorastającej młodzieży obojga płci nie miała zatrudnienia i wobec zakazów emigracyjnych tylko częściowo odpływała w rzemiośle miejskim, bo przemysł prawie wyłącznie zasilany był przez proletariát miejski. W okresie letnim ta bierna i słaba ekonomicznie masa ludności wiejskiej była przedmiotem wyzysku ze strony właścicieli majątków ziemskich, którzy dosłownie za grosze płacone godnemu chłopu siłą jego ramion uprawiali swe obszary i latyfundia, a także wędrując na t. zw. „Saksy”, oddawała swą pracę na usługi Niemcom.

Dziś w wyniku reformy rolnej, która w chłopskie ręce oddała dworską ziemię, z powodu wyniszczającej żywoł polski polityki okupacyjnych władz niemieckich oraz w rezultacie działań wojennych i zmiany naszych granic na wschodzie, stan rzeczy na tym odcinku naszego życia społeczno-gospodarczego uległ zmianie na lepsze i liczba bezrobotnych na wsi wybitnie zmalała. W każdym jednak razie, uwzględniając gęstość zaludnienia wsi w naszych województwach centralnych i zachodnich (bez ziem przyłączonych) oraz przeznaczone do podziału i rozparcelowane na tych terenach obszary ziemi dworskiej, nie możemy ani przez chwilę ludzi się, że reforma rolna problem przeludnienia wsi w stu procentach rozwiązała. Wprost przeciwnie: pozostały jeszcze ogromne masy ludności wiejskiej, zwłaszcza w okolicach górskich, których naturalny głód ziemi pozostał nadal niezaspokojony, a warunki egzystencji kształtują się na poziomie najniższym.

W samym np. województwie krakowskim w roku 1939 mieliśmy 92,5 tysięcy gospodarstw rolnych o powierzchni niżej 2 ha. Wątpię, czy reforma rolna zredukowała tę cyfrę do połowy!

W tym stanie rzeczy poczdamska decyzja mocarstw przyznania nam słowiańskich ziem północnych i zachodnich nabiera specjalnego znaczenia. Tam bowiem jest nasz wielki rezerwuár ziemi, na znacznych jeszcze obszarach leżącej odłogiem, zdolny do przyjęcia całej naszej nadwyżki ludnościowej z terenów centralnych oraz wszystkich przesiedlanych z Bugu Polaków. Teren ten zamieszkiwany był przed wojną przez blisko osiem milionów Niemców, w czym znaczny odsetek (około 10 proc.) częściowo wynarodowionych, dziś zrehabilitowanych Polaków, a teraz pomieszczył zaledwie cztery miliony polskich obywateli. Zatem — po zupełnym wysiedleniu Niemców — znajdzie tam pomieszczenie jeszcze kilka milionów Polaków, którym dziś ciasno na starych śmieciach. Tam na naszych małorolnych, którzy dziś w trudzie i znoju uprawiają małe, kamieniste, wilgotne lub piaszczyste polećka swych karłowatych gospodarstw, czekają łany ziemi urodzajnej, a gdzie niedługo dostatknie zagospodarowane, ale w międzyczasie dokładnie wyszabrowane osiedla i urządzenia rolne. Tam więc w niedługiej przyszłości winny powstać przy wybitnej pomocy czynników oficjalnych wzorowe osiedla wiejskie, gwarantujące chłopskiej rodzinie lepsze warunki egzystencji. Tam wreszcie czeka naszego chłopca, pogrążonego dziś wskutek wiekowych zaniedbań na dnie materialnego prymitywu i zacofania, lepsza, kulturalna przyszłość.

Zapytajmy jednak, dlaczego ten chłop dziś się waha, dlaczego mu na ogół tak trudno zdobyć się na dobrowolną decyzję przesiedlenia?

Wydaje mi się, że przyczyny hamujące tak ważną akcję przesiedleńczą możemy podzielić na dwie grupy: a) przyczyny natury psychicznej, i b) przeszkody fizyczne, materialne.

Za najważniejszą z przeszkód natury psychicznej, hamującą akcję przesiedleńczą żywołu wiejskiego uważać musimy wrodzone chłopu przywiązanie do ziemi, na której się urodził, którą w znojnym trudzie zrosił swym potem, gdzie złożył kości swych przodków. Niechęć „osiadłego” chłopca do zmiany wiadomych warunków otoczenia na choćby lepsze, a wreszcie wrodzona mu nieufność nawet w stosunku do korzystnych perspektyw stały się, niestety, przysłowiowe. Typem takiego chłopca jest w literaturze Ślimak z „Płacówki” Prusa.

Dlatego też na odcinku psychicznego przygotowania chłopca do akcji przesiedleńczej musi być rozwinięta na wsi jak najstaranniejsza akcja uświadamiająca.

Najlepsze widoki powodzenia miałyby dziś na wsi podane w odpowiedniej formie i przez odpowiednich ludzi żywe słowo i ewentualnie film dźwiękowy (fotomontaż z Zachodu), lecz ten ostatni środek z powodów technicznych — na wsi mało wchodzi w rachubę.

Duch kresowości zachodniej

(Dokończenie ze str. 1)

zał osławiony typ szabrownika, który, choć nie polski wyłącznie, płamą bolesną zaciążył na narodowej godności. Koniunkturalność, dyktująca filozofię życia, wyzwała w człowieku najniższe instynkty. One niestety wciąż jeszcze są niezastąpionym motorem ludzkich czynów.

Dlatego, by stworzyć nowy ideał Polaka, Polaka Ziemi Odzyskanych w szczególności, jako propagatora polskich cnót narodowych, spadkobiercy najlepszych polskich tradycji wychowawczych i zwiastuna nowych wartości, trzeba zbudować nowy, zaczynający od moralnych podstaw system edukacji narodowej.

Przebudować postawę duchową Polaka w obliczu doniosłych przemian historycznych, w obliczu wielkiego, niedocenianego pod względem wychowawczym, powołania narodowego odzyskanych ziem zachodnich — to nie romantyzm złudnych, patetycznych uniesień, lecz trzeźwy realizm.

Rozbudowa szkolnictwa powszechnego (tak słuszna w swej zasadzie), przedstawienie szkolnictwa średniego na kierunku zawodowy (tak trzeźwe i uzasadnione, byleby porzucony tor ogólnokształcący nie rdzewiał — to reformy nie sięgające jeszcze do głębi moralnej zagadnienia. Ponad wielowiekową przepaścią bezwładu trzeba przerzucić pomost narodowego uświadczenia o długim, daleko w przyszłość sięgającym przesłaniu dziejowej potencji. Wraz z Daniną Narodową na odbudowę Ziemi Odzyskanych wychowawcy narodu polskiego złożyć muszą nie jednorazową, lecz wieloletnią i nieustającą daninę najszlachetniejszego wysiłku twórczego na rozbudowę duszy przyszłego mieszkańca tych ziem. O sformułowanie tego hasła i zadania, o opracowanie i ustalenie wieloletniego planu jego realizacji i o wychowawczy czyn — trzeba wszczać twardy, wytrwały i nieustępliwie uparty bój.

Kazimierz Herz.

*

Artykuł powyższy to hasło, ukazanie problemu. Nastąpią po nim artykuły, rozważające praktycznie sprawę typu Polaka dla Ziemi Odzyskanych, sprawę odbudowania na tych ziemiach zachodniego typu psychicznego i narodowego.

bę. Chodzi więc o dobór odpowiedniej i przekonującej treści i odpowiednich ludzi do akcji propagandowej za naszą emigracją wewnętrzną na wsi. Akcja ta winna kroczyć różnymi torami. Musi przygotować chłopca do zrozumienia konieczności przesiedlenia na zachód z punktu widzenia interesów jednostki i Narodu, musi równocześnie wskazywać na praktyczne i namacalne korzyści, jakie osiągnie chłop, obsadzając ziemię zachodnią, przygotowane technicznie i gospodarczo na jego przyjęcie.

O ile chodzi o dobór ludzi, to najlepiej spełnią te zadania ludzie, których wieś zna i ceni, a zwłaszcza pierwsi pionierzy naszego osadnictwa wiejskiego na zachodzie. Wybranim z pośród nich i odpowiednio uzdolnionym jednostkom należy ułatwić akcję uświadamiającą wśród sceptycznie, czy nawet wrogo do akcji przesiedleńczej nastawionych ziemaków. Jestem pewny, że argumenty naocznych świadków i aktorów dotychczasowego osadnictwa na zachodzie najprędzej trafią do przekonania i osiągną pożądane rezultaty.

Wśród przyczyn fizycznych i technicznych, hamujących dotychczasową akcję przesiedleńczą, na pierwszym miejscu postawić musimy wadliwą organizację pierwszych transportów oraz brak odpowiednich środków technicznych dla przeprowadzenia akcji przesiedleńczej w szerszym zakresie. Zdajemy sobie dobrze sprawę z tego, że w pierwszym okresie stojący nam do dyspozycji tabor kolejowy i samochodowy był zbyt niedostateczny, aby przy jego pomocy można było zorganizować akcję przesiedleńczą w szerszym zakresie i na lepszych warunkach. Niemniej musimy stwierdzić, że organizacja tych pierwszych transportów na zachód często zawodziła, a długie postoje pociągów w okresie zimy na niektórych stacjach kolejowych (Biezanów) wpływały odstraszająco na ew. dobrowolnych kandydatów do przesiedlenia. Jeszcze ujawniej wpływała na tę akcję ospałość i niezarnadność naszych punktów repatriacyjnych tam na zachodzie, u kresu wędrówki naszych przesiedleńców. Zbyt często zdarzało się tam, że powołane czynniki administracyjne albo wcale nie troszczyły się o należyte rozładowanie transportów przesiedleńczych lub też zbyt opieszale i bez przekonania przystępowały do tego zadania. Nie trzeba wskazywać jak takie okoliczności, zwłaszcza przy naszej zdolności do przejawskawień, musiały fatalnie oddziaływać na zapal przesiedleńczy ożywionych nawet najlepszą wolą ochotników! Ile szkody spowodowały przez to, że zniechęcili do tej akcji ludzie pracy i dobrej woli, a skierowały tam spory zastęp nieodpowiedzialnych i działających na własny rachunek szabrowników (tzw. szaber rolniczy!).

Ludzi objętych transportami przesiedleńczymi i to zarówno, a może przede wszystkim repatriantów z Bugu, jak i ochotników z różnych okolic Polski oraz rzetelnych kolonistów indywidualnych należało kierować planowo do z góry wyznaczonych miejscowości, a po przybyciu transportu na miejsce jego załogi w żadnym wypadku nie wolno było zostawiać tam samej sobie, lecz należało uczynić wszystko, aby tym ludziom ułatwić początkowe warunki bytu, wprowadzić faktycznie i prawnie w posiadanie ziemi i zabudowań, a wreszcie zorganizować społecznie i gospodarczo, zapewnić warunki bezpieczeństwa i stworzyć warunki życia choć w przybliżeniu podobne do tych, w jakich przesiedleńcy przywykli żyć na starych śmieciach.

Dlatego obecnie — po bogatych doświadczeniach przydługiego okresu przejściowego — należy zrobić wszystko w kierunku psychicznego i praktycznego przygotowania akcji przesiedleńczej ludności wiejskiej z przeludnionych i ubogich okolic Polski centralnej i południowej na Ziemię Odzyskaną.

Perspektywa Odry

Henryk Sienkiewicz

TESTAMENTU NOVEGO
CZESĆ PIERWSZA

Czterech Ewangelistów (wici),
MATTHEVSZ, MAREK,
LVKASZ, I IAN,
Z Greckiego ięzyka na Polski pize
lozeni, i wykladem krotkimi
obiasnieni.

Arzniczacy

Noweś historyczna
z 9 ilustracjami

Wszystkie wyzyskiem dokladano iu/ Zaczyn
tego/ i natilka infy ch izyfow przyboja
na/ i ktem Starych i Nowych pisma
Swietego Doctorow.

Przem przybna iit nauka cyzama i pisanu tryla
Dolligo/ fu tym ksigam i infem pojyncyna/
J Regestr na wytlab tory przy s. Mlar-
chouba/ i na Ewangelic niezajni-
ne i dmon swiatych.

W Krolewcu Pruskim
M D L I.
Mencie Octob.

L. Tumo: II.

Vnus est mediator Dei & hominum
Iesus Christus.

Oktyon 1930

Rakladem wydawnictwa „Magur”
Druktem S. Sienkiewicza („Gazeta Olsztynska”
(Allenstein Ohrt.)

Na polskiej północy zawsze wychodziły polskie książki. Z lewej karta tytułowa Nowego Testamentu w wydaniu Jana Seklucyana z r. 1551. Z prawej karta tytułowa sienkiewiczowskich „Krzyżaków”, wydanych w r. 1930 w Olsztynie w wydaniu „Mazura”, drukiem S. Pieniężnego.

Dyskusja nad programem kulturalnym dla Ziemi Odzyskanych, zapoczątkowana w ubiegłym roku, wygasła, nie zanotowana nawet w przeglądach prasy poważniejszych tygodników literackich w Polsce. Nie udało się zatem ująć ruchu kulturalnego na Ziemiach Odzyskanych w jakieś jednolite, logiczne, programowe ramy. Wciąż jeszcze myśląc o tych terenach w dziedzinie kulturalnej widzimy tylko poszczególne gniazda, między którymi nie ma powiązań, które realizują postulat kulturalnego powiązania Ziemi Odzyskanych z resztą Polski, z jej tradycją i jej nowymi społeczno-kulturalnymi potrzebami — samodzielnie, na własną rękę, entuzjastycznie i rozsądnie lub dyletancko i szkodliwie, w zależności od ludzi, którzy tu osiedli i od pobudek, które ich skłoniły do zajęcia się życiem kulturalnym.

Ten bezprogramowy sposób organizowania życia kulturalnego, noszący wciąż jeszcze cechy początkowych improvisacji i jedynie we Wrocławiu dzięki oparciu o Uniwersytet wybiegający na szerszy trakt wspólnych całej Polsce przemian i potrzeb, silnie gmatwa obraz kulturalny Ziemi Odzyskanych, gdybyśmy go chcieli nakreślić jednym pociągnięciem pióra, jednolitą farbą.

W niniejszym numerze na dalszych jego stronicach znajdziemy kilka dłuższych sprawozdań z życia kulturalnego Ziemi Odzyskanych. Sprawozdania te chcemy traktować jako dalszy materiał do dyskusji, która — wygasła w roku ubiegłym, powinna z tym większym zapalem zacząć się na nowo. Zapraszamy do niej wszystkich tych, którym rzeczywistość leży na sercu sprawa odbudowania polskiego życia kulturalnego na Ziemiach Odzyskanych w całej jego wielkości, różnorodności form i treści, w oparciu o bijący dotąd nurt kultury ludowej polskiej, tam gdzie on włącza się jeszcze w życie, zaś w oparciu o rekonstrukcję form ludowych, tam gdzie one już wymarły. Ziemię Odzyskaną bowiem muszą mieć swój własny wyraz kulturalny i przescheczenie tutaj kabaretu z Warszawy, gwary lwowskiej jako elementu folklorystycznego czy krakowskich sporów literackich jest szkodliwe i opóźnia jedynie logiczną, powiązaną z przeszłością odbudowę kulturalną tych ziem.

Ze sprawozdań wydrukowanych w niniejszym numerze dowiemy się, że życie kulturalne Ziemi Odzyskanych tętni i pragnie się rozwijać coraz lepiej. Ale równocześnie z niejaką troską zaobserwujemy jak nieudolnie naśladuje ono życie kulturalne kraju, podczas gdy potrzeby tych terenów są zupełnie inne i podczas gdy rewolucja kulturalna, o której jest coraz ciszej im więcej oddalamy się od dnia uchwalenia P. K. W. N., należało właśnie zacząć tworzyć tu, w warunkach dziewiczych, przy możliwościach stworzenia nowego typu człowieka w Polsce. Na to jednak potrzebny był program i dlatego za zbrodnie uważamy dziś obojętność i milczenie wobec zaszloroczonych prób przedyskutowania go i w rezultacie narzucenia odpowiednim władzom wykonawczym, organizacjom kulturalnym a także ludziom dobrej woli na Ziemiach Odzyskanych, którzy na taki program czekają od początku.

wisz.

TEOFIL KOWALCZYK

Ziemia mojego jutra

Po jaskrawych pożarach, po gorzkich podróżach,
jak po nocy Walpurgii i wielkookich sów
tutaj mój dom: horyzont z zachodu w okna bierze.
Niebo, jak szklany klosz — błękitem zaciąga w górze.
Oddycham toba, zdeptana przez wroga różo
i ślaski wiatr przyzywam. Puchnie jak koszyk bzów.
Echo powtarza nad Odrą pociągów dudniący reiren
o ziemi mojego jutra. Drzewa jak dlonie ludu się kolebią.
Daj mi zostać twoją najmniejszą cyfra,
przemawiać kielnią murarza, a kwitnąć jak głóg.
Wrocław wieża Elżbiety podpart już twoje niebo.
Wieczorem, w wiatr
gwiazdy, narcyze nocy, posypią się na bruk.

Co robią Niemcy

Dyskusja bez podstawy — Hoerst du mich Hans? — Historia satyry politycznej — Ponury cień Wersalu



Tak żyją, uczą się, dyskutują jęńcy niemieccy w obozach na terenie Anglii. Wkrótce wrócą do domu — demokratami. Zdaniem Anglii powinni oni objąć wpływowe stanowiska, wszak z wdzięczności dla gościnniej Anglii prowadzić będą politykę filoangielską.

NIEMICY mówią, ale nie dyskutują — powiedział pewien angielski oficer, przysłuchując się w Kulturbundzie jednej z dyskusji. Nie dyskutują lecz mówią, czyż można określić precyzyjnie ów brak demokratycznej tradycji, do jakiej zalicza się również pojęcie dyskusji? Żeby dyskutować — a dyskusja nie jest przecież celem w samym sobie jakim może być mówienie — trzeba posiadać pełną demokratyczną świadomość. Nad wszystkim tymi sprawami zastanawia się Fritz Erbenbeck w artykule „Dyskusje bez podstawy“, redaktor pisma „Theater der Zeit“. Erbenbeck współczesną podstawę duchową Niemców charakteryzuje doskonale. Jest to według niego mechaniczną przemianą duchowego uniformizmu lat hitlerowskich w nieobowiązujący, do niedawna nihilistyczny sceptycyzm, który nadto zachowuje się jakby był najwyższą formą wolności demokratycznej. Początkiem jego jest hitlerowska atomizacja osobowości, straszliwe zniszczenie substancji duchowej, potworne zniszczenie dyscypliny myślenia. W ten sposób każdy z nas w słowach Erpenbecka znajdzie usprawiedliwienie, dlaczego nie prowadzi się z Niemcami dyskusji, dlaczego nie wierzy się w jakieś rozumowe, przemyślane podstawy wszystkiego tego, co mówią.

TYM CZASEM słuszny wywód Erpenbecka, Niemca, stara się obalić nie żaden Niemiec, ale amerykańska dziennikarka. Przy czym nie jest to jakaś pierwsza lepsza współpracowniczka nowojorskiego brukowca, ale osobistość znana szeroko w świecie. Dorothy Thompson, znawczyni problemu Europy i Niemiec, autorka pogadanek radiowych z czasu wojny, które pod tytułem „Hörst du mich, Hans?“ zwracały się do Niemców, napisała książkę p. t. „Listen, Hans?“ i w przedmowie do niej stara się dotrzeć do źródeł niemieckiego charakteru narodowego. I podczas gdy Erpenbeck stwierdził całkowity brak myślenia jako tragiczne zjawisko epoki hitlerowskiej, amerykańska dziennikarka przechodzi nad okresem hitlerowskim niemal w radosnych płaschach, jak nad czymś, co zmieniło tylko formy, zdeprawowało jednostki, ale nie zmieniło istotnych cech charakteru niemieckiego. I oto opadły kajdany hitlerysty i znowu, zdaniem autorki, wielki idealizm Niemców i ich pociąg do uniwersalnych rozwiązań problemów (dosłownie!) stanowiąc będzie wielką pomoc w tworzeniu nowej europejskiej zbiorowości.

Ach, te Amerykanki! Zapomniała pani Dorota, że skłonność do uniwersalnego rozwiązywania problemów posiadał także hitlerysty i pod takimi to sztandarami przecież odbywał się podbój Europy. Dorothy Thompson rada by widzieć niemieckie, według niej rozsądne, myślące, ideal-

istyczne głowy przy wspólnym europejskim stole. Podczas gdy Erpenbeck, Niemiec, krzyczy: ani jeden Niemiec nie umie myśleć, Niemcy umieją tylko mówić, ale nie dyskutować! — to Thompson, Amerykanka, uważa, że jest zupełnie inaczej, że Niemcy umieją myśleć i jednym kaprysem, nieznośnym jak przyznanie, ich myślenia jest to, że niewiadomo nigdy, co wyskoczy, twórcza czy niszczyielska myśl. „Bo duch niemiecki jest demoniczny, kryje w sobie aniola i szatana zarazem, stwórcę i niszczyiela, jest naturą Fausta“.

Więc pocóż sobie komplikować żywo, czyż nie lepiej przyjąć stwierdzenie Erpenbecka, zamiast czekać na niespodzianki niemieckiego myślenia?

NA BERLIŃSKIEJ wystawie karykaturzystów przy Luisenstrasse można było zobaczyć w reprodukcjach historię walnej nieskrepowanej karykatury. W katalogu wystawy czytamy: „W historii sztuk graficznych niewiele tylko mamy karykaturzystów, którzy próbowali bronić reakcji. Wprawdzie przez 10 lat nie było innych, ale rysunek ich i satyra stracił jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej swą siłę przekonywania, i dlatego nie należą oni już do historii rysunkowej satyry niemieckiej i możemy powiedzieć, że ich nie było“. Pięknie powiedziane, prawda?

Współcześni karykaturzyści niemieccy powołują się na odległą tradycję, sięgającą okresu reformacji i wojen chłopskich, gdy pierwsze karykatury ukazywały się w formie prymitywnych drzeworytów. Pełniejszą tradycję stanowią lata po 1848. Wszędzie w Europie powstają pisma poświęcone satyrze politycznej. W Anglii „Punch“, we Francji „Charivari“ z genialnym Daumierem, w Niemczech synny „Kladderadatsch“. Nawiązywanie do tradycji „Kladderadatscha“ jest tym aktualniejsze, że zarówno wówczas, jak i dziś rysownicy niemieccy cały swój niewyczerpany zapal i zjadliwość kierowali przeciwko separatystycznym tendencjom ośrodkowym. W naszym pojęciu zatem „Kladderadatsch“ stanowi dobrą tradycję, ale satyra właśnie reakcyjnej, bo dążącej do stworzenia silnych jednolitych Niemiec. Nic dziwnego, że wiele argumentów tego pisma powtarzali satyrycy hitlerowscy z okresu walki o władzę. Na początku bieżącego wieku centrum satyry politycznej znajdowało się w Monachium, gdzie wychodził „Simplicissimus“. Po roku 1918 ze znamienitszych wymienić trzeba Georga Grosza z jego „Obliczem klasy panującej“ i z „Eccle-Homo-teczką“. O ile dziś na łamach pism satyrycznych spotykamy się z nazwiskami rysowników dobrze znanych jeszcze z okresu hitlerowskiego, to możemy mówić zaiste o pewnej nieprzerwanej tradycji, — tylko czy słusznej?

INACZEJ jest w szkolnictwie. Tu postanowiono nie powoływać się na żadną tradycję, zaczając uczyć według zupełnie nowych programów. Zwłaszcza w strefie okupacyjnej sowieckiej. Oto jak 3 i pół milionom dzieciom niemieckim wyklada się historię. W podręczniku historii z roku 1941 powtarzają się na każdej stronie słowa: wolnoludź, żydostwo, narodowa samoobrona, nowy porządek. W liniach programowych na rok 1947 nad treścią górują pojęcia odwrotne: junkerstwo, siły reakcyjne, kapitalizm monopolistyczny, rewolucja październikowa. Ale przy tym całym odwracaniu pojęć trafiają się również i niebezpieczne zbieżności. Wiadomo, że traktat wersalski uważał Hitler za główny powód do wojny. W liniach programowych dla nauki historii w strefie sowieckiej na rok 1947 ocena Wersalu także nie wypadła przychylnie chociaż z innych już względów. „Pokoń był imperialistyczny. Nie przyjęła go Rosja jako jedyne mocarstwo. Reparacje daly wiele zysku mocarstwu pieniężnym, przynosiły rozmaite uprawnienia i zyski niemieckim kapitalistom i właścicielom monopolów, narodowi niemieckiemu jednak same tylko ciężary“. Takie sformułowanie za nadto przypomina Gehla „Deutsche Geschichte in Stichworten“ z roku 1941. „Wersal zwycięstwem imperializmu, groźbą dla świata. Niemcy kolonią dla wysokiej finansjery. Nędza narodu niemieckiego i pozorny rozkwit przemysłu“ — czytamy tam dosłownie.

Zbieżności te, a jest ich tam o wiele wiele więcej, bynajmniej nie przyczynią się do ostatecznej likwidacji hitlerowskich metod myślenia.

DOBRYM znakiem był cykl odczytów urządzony w Berlinie przez generalny sekretariat SED. W pierwszym dniu Anton Ackermann mówił o duchowej sytuacji współczesności, stwierdzając, że marksizm jest ideą przyszłości, potęgą najżywoniejszą i najbardziej postępową. Dowiódł on także na podstawie wielu ciekawych cytatów i zestawień, że naukowy socjalizm bynajmniej nie neguje znaczenia irracjonalizmu w historii. Doceniając go nie ma też zamiaru walczyć z nim na szerokim froncie. W drugim dniu mówił Otto Meier na temat: „Nasz stosunek do chrześcijaństwa i kościoła“. Powiedział on, że SED jako partia marksistowska pragnie współpracować z kościołem i dumna jest z tego, że w jej szeregach znajduje się wielu wierzących, a nawet księży. Wreszcie Józef Naas mówił o stosunku SED do inteligencji. Zarzucił on inteligencji niestanne ciążenie ku kapitalizmowi, kompletną ignorancję w sprawach literatury marksistowskiej i konieczność ścisłego sojuszu między inteligencją a światem chłopsko-robotniczym. Wsz-

Anna Kowalska

Za trudne szczęście

(Dokończenie z poprzedniego numeru)

— Ignac? — Kralewskiemu przyszło na myśl, że Ignac musiał spłatać figla, bo chłopak był zuchwały i o byle co się nie spłoszył.

— To twój pies.

Chłopak skinął głową, z trudem przełykając ślinę. Bał się Kralewskiego, ale kochał swego psa, i postąpił o krok naprzód.

— Żurek — zawołał błagalnie na psa. — Żurek, chodź ino. Ale

Zurkowi spodobały się buty Kralewskiego i gryzł je radośnie.

— Od kogo ten szczeniak?

— Od... Wielgasów.

Kralewski zmrużył oczy i uśmiechnął się wąskim, niedobrym uśmiechem. Zabolala go krosta na nosie. Kopnął z całych sił Żurka, który przeleciał w powietrzu z łapami w górę i zarył się w śnieg. Ignac podbiegł ku Zurkowi, chwycił go na ręce i znikł za domkiem ogrodnika.

Kralewski kłął: Feuer und Flamme, i kopał butem grudki na drodze. Nauczył tych wszarzy porządku i posłuchu. Myślał z nienawiścią o Wielgasach. Instykt, nieomylny instykt kierował go na właściwy trop. Nie domyślał się, że to Krzys Wielgus rozbroił barona i kazał mu zejść z bryczki, ale instykt nienawiści kierował go ku gajówce. Zeszedł szybkimi krokami na gościniec. Jak artysta który nagle wpadł na dobry pomysł, był szczęśliwy, już wiedział czego chce.

Przed domem Antonia biegał pies. Kralewski poprawił na czole swój zielony kapelusz z piórkami i strzelił. Pies przewrócił się, skręcił i wyciągnął nogi do góry. Kralewski przebiegł do zagrody Kasprzyka i tam zastrzelił starego psa we śnie, celując w czoło. Potem zastrzelił psy Łuby, Tomali, Rebaja, Karwańskiego i Gurandy. Zginęły, broniąc się, psy Sadaja, Niewójta, Osuchy i Olaka. Wysomińskiego i Sałaty.

Kralewski wchodził na każde podwórze, zaglądał do budy, do stajni, do obory, do kuchni nawet. Przewracał butem bańki z mlekiem, wysypywał ospe z worka, jajka z koszyka. Uśmiechał się czerwonymi, tłustymi wargami, przymrużał oczy i strzelał do kryjących się po kątach psów. U Wydzgów, Gondków, u Balickich chłopcy uprowadzili psy na stryżki.

Rajca wydobyl swoją dubeltówkę z suszarni tytoniu, ale żona uwiesila mu się w rękę i nie dała wyjść na próg.

Kralewski doszedł do Sydzyny już nieprzytomny z podniecenia mordem, upojony samowolą. Pchnął butem furtkę w świerkowym żywopłocie, aż jętko i wszedł w alejkę sadu. Na chwilę przystanął, zatrzymała go cisza tego zakątka.

Nagle z wnętrza domu rozległo się szczekanie. — Mam cię — warknął Kralewski i nie pukając wszedł do domu.

Przy kuchni stała Helenka w białym fartuszkach, czerwona od ognia i roześmiana. Podrzucała na patelni naleśniki. Śmiała się z ucichy, jak to baron piechotę wracał po grząskiej rytwiańskiej drodze. Śmiech zakrzępił na jej twarzy na widok Kralewskiego.

Liszka zaszczekała przy nodze Krzysia.

— Czy nie wiecie, że zakazałem trzymać psy, a wy rozdajecie szczenięta tego parszywego kundla.

Krzys skulił się i skoczył ku Kralewskiemu.

— Wom mi stąd, ty gadzie niemiecki — uderzył go w nos tak mocno, że Kralewski zatoczył się do drzwi, walał głową aż stuknęło, ale zaraz jak sprężyna odskoczył, wyprostował się i strzelił w pierś Krzysa, a potem dwa razy w Liszkę.

Zakrzęcił się na piecie, aby wyjść, ale zawrócił, podszedł do kuchni i z patelni ściągnął naleśnik, zwinął go i wpakował do ust.

— Lubię takie świeże — zaśmiał się do znieruchomiałej Helenki i wyszedł, uchylwszy zlekka kapelusza.

VI.

Krosta na nosie Kralewskiego przemieniła się w różę na twarzy. Leżał zapuchnięty i nieprzytomny. W południe odwiedzał go baron. Nie śmiał na niego patrzeć, nie przyznawał się przed sobą, ale spodziewał się, że Kralewski umrze. Od dnia, kiedy Kralewski się położył, w barona jakby nowe życie wstąpiło. Wprawdzie ludzie z lasu obrabowali zarząd majątku z koni i krów, obrabowali kasę i wystrzelali żandarmów w trzech miasteczkach, ale nie było Kralewskiego, któryby to w przykry sposób przedstawił.

Tymczasem chłopcy, nie umawiając się, pochowali każdy swego psa w ogrodzie pod wierzbą, a chłopcy przynętili psie mogiły polnymi kamieniami na pamiętkę. Stary Guranda powiedział: „Mówi się o człowieku, że zginął jak pies, a nasze psy zginęły jak ludzie, przez to tylko, że są nasze.“ Przeważnie chłopcy nie mówili ze sobą o tym wprost, tak bardzo ich to obeszło.

Śmierć Krzysia wielkim zmartwieniem była dla każdego w Sicho-wie. Pochowano go cichcem na pagórku pod lasem, a chociaż nawykli teraz do grzebania młodych, rady sobie z tą żalobą dać nie mogli.

Zachodzili na gajówkę do starego Wielgusa. Całowali go i ściskali. Przyszła i leśniczyna. Płacząc mówiła: — Wszyscyśmy po nim w żalobie. Lżej było żyć, kiedy się wiedziało, że on żyje.

Biadała, jak prosta kobieta, zapomniawszy na ten raz i swoich minek i sztucznie modulowanego głosu i tych śmiesznych sposobów, jakimi zaznaczała, że ma własny folwark i że jest czymś lepszym, niż inne leśniczyny.

Chłopcy, co się jeszcze jakoś ostali we wsi, i ci co z lasu wrócili, by się z wrzodów i reumatyzmu podleczyć w domu, nic nie mówili. Stali pod oknem, wypięci jak na mustrze, niemy chór żaloby, zapatrzni w mogiłę swego młodego wodza na brzeziny wzgórku. Śmierć Krzysia najciężej dotknęła Tomka Gurandę i Mańka Trojana ze służby leśnej, najstarszych druhów wypraw i bojów. Chociaż obaj dzielni, nie mieli jednak tak mężnego serca, jak on. Krzys w akcji szedł zawsze przed nimi, zakrywając ich sobą. Gdy było ciężko, odwracał się, odrzucając swoje włosy świecące złością i dodawał im otuchy spojrzeniem. Odczuwali w nim jego młodość, jak gdyby prawdziwszą od własnej i ją w nim, oprócz niego samego kochali.

Śród tej powszechnej żaloby Albin przebywał jakby zwolniony z własnych uczuć. To inni plakali, wdychali: Krzysiu, Krzysiu, — jakby Krzys stał się synem i bratem ich wszystkich, a nie ojca i Helenki, która zamknęła się w pokoiku na górze, nikt nie miał odwagi tam zapukać.

Albin, po dniach rozpaczki już nieuczający i niecałkiem przytomny, aż dziwił się sobie, że oto siedzi przy stole, pali papierosa, wita się z ludźmi, pamięta losy i historie każdego z nich. Ah, moc nie pamięta, nie widzieć nikogo, iść dokąd oczy poniosą. Lękał się, że wreszcie zacznie w nim coś czuć i skowitać, że się odezwie cierpienie. Ale nie, nadal nic nie czuł i to było gorzej od cierpienia. Doznawał dziwnego wrażenia, jakby przestrzeń między nim a obecnymi się zwiększała a równocześnie wzmagała się w nim ostrość widzenia dziwnie natrętna. Oto męczy go zagięta koronka u kołnierzyka leśniczyny i wiszący na nitce guzik u kurtki Tomka, i drzazga wystająca z podłogi. Kusi go, aby odgiąć koronkę kołnierzyka, oderwać dyndaający się guzik i tę sterzącą drzazgę u progu. Możeby wtedy przyszło mu łatwiej oddychać, możeby zelżał ucisk na skro-

niach. Ale oto siedzi nieruchomy jak pień, ręce ciężą mu niby cudze, cały sobie jest cudzy, obcy, niewygodny. Siedzi i patrzy. Już chyba tak wieczność siedzi. Leśniczyna ociera oczy, a on widzi znowu i bez przerwy tylko ten jej koronkowy kołnierz. Tomek świeci swą zielonkawą twarzą, blednącą, jakby miał zemścić, a Albin zauważa tylko kołysząc się na nitce guzik przy jego kurtce.

Ale wreszcie coś się zmienia w izbie. Oto Tomek odrywa się od pieca, o który się opierał, żegna się i wychodzi. Biedny Tomek nie może sobie poradzić z żalem. Omija zdaleka grób Krzysia, idzie w las. Trzaskają gałęzie pod butami, a od hałasu tego boli go serce, omija więc gałęzie, stąpa ciszej. Tak jest mu przez chwilę lżej. Zatrzymują go stawy sieraskie. Leżą siwe, rozległe pod białym niebem. Tomek spoziera na wody, na piasek nadbrzeżny i jęczy. Niema Krzysia. Nic nie sprawi, aby go zobaczył z głową podniesioną i wyciągniętymi ramionami, aby usłyszał jego niski, radośnie zdziwiony krzyk: — Tomku!

— Tomku! — zawołał przez łyzy głosem Krzysia. — Tomku! — jakby nie nad Krzysiem płakał, ale nad sobą, sierotą.

Tymczasem Albina zaczęła nużyć obecność żalobników. Przyszli do niego, aby własnemu żalowi dać upust, a o niego samego nikt się nie zatroszczył. Przestał być Albinem Wielgusem, a został jedynie ojcem Krzysia. Jakiś Krzysy dla wszystkich potrafił być miły i bliski, wszystkich sobą obdzielić. I jak to ponad ojca wyrósł.

Dwie różne zazdrości męczyły serce Albina, jedna że Krzysy jakby zatajał przed nim część swojej istoty, przyjaźniąc się z byle kim, a druga, głębsza i zatruta, a władzę Krzysia nad nim samym.

Albin z niecierpliwością zamknął drzwi za ostatnim gościem. Postąpił chwilę przy drzwiach, jakby się bał, żeby któryś z gości się nie wrócił. Schylił się i oderwał sterzącą drzazgę z podłogi a deskę wygładził scyzorykiem. Przyniosło mu to ulgę i jakieś życie wstąpiło w jego twarz.

Podszedł do szafy, wyciągnął z głębi butelkę. Huknął dłońią w dno, korek wyskoczył. Albin nalał wódki do szklanki, powąchał i wypił.

— Tak. To nie dla mnie, te Krzysiove ceregiele — powiedział gładząc kolano, gdzie zwykle spoczywał łeb Liszki — nie dla mnie. — Wychylił drugą szklankę i zaczął skręcać papierosa. Odbiło mu się szkaradnie. Nalał sobie trzecią szklankę wódki. Oto skończyło się szczęście Albina, za trudne szczęście. Nie będzie musiał dźwigać tego ciężaru ponad siły. Był znowu wolny. Mógł pić, wspominając.

Anna Kowalska.

Stanisław Telega

Od Bubusia XII do prawdziwego życia kulturalnego

LITERATURA ZALEŻNA
OD ŚWIATŁA

Szczecin, luty 1947.

Życie kulturalne Szczecina zależy wciąż jeszcze od światła. Nie tego metafizycznego, ale najprzebieżniejszego światła elektrycznego. Słabe oświetlenie ulic, szybki zmierzch zimowych wieczorów, to są potężne czynniki, z którymi trzeba się liczyć urządzając np. jakąś imprezę artystyczną. Cóż dopiero mówić o oporach psychicznych, mocno nieoświetlonych lub o potężnych kapliczkach, w których rezyduje w skąpym świetle pomorski św. Biurokracy XVI?

Pięknych lokali jest w Szczecinie w bród. Aż się proszą. Pomimo tego Klub Literacko-Artystyczny nie może, pomimo prawie rocznego istnienia, znaleźć dla siebie odpowiedniego pomieszczenia. Tułał się więc biedaczek po różnych lokalach, począwszy od Radia Polskiego, a skończywszy na... Urzędzie Wojewódzkim. Przyhulała go w końcu Liga Morska, mieszcząca się w ślicznym pałacyku, w którym jednakże brak krzesel, a zimno wieje jak z bieżąca północnego. Aby więc nie zamrozić swych członków, Klub czeka na ciepłe promienie wiosenne, by się wreszcie zainstalować na stałe w Lidze Morskiej, tymczasem zaś wprasza się nadal do różnych instytucji. Bo jednocześnie życie kulturalne narasta, ilość mieszkańców przekroczyła sumę stu tysięcy, wyłaniają się nowe potrzeby, nowe zagadnienia, którym trzeba przeciwstawić. Klub urządza więc coraz nowe imprezy, a ludzie piastujący te honorowe i bezpłatne stanowiska, tracąc czas na wyszukiwanie lokali i pieniądze, aby jako tako zorganizować jakąś imprezę. Nie zapominają nawet o wysyłaniu specjalnych zaproszeń, dawananiu bezpłatnych wstępów i tym podobnych rekwizytów z epoki lodowcowej, byle tylko Bubus XII się nie obraził i przyszedł na wieczór literacki.

Pomimo tych tarapatów Klub zdołał urządzić interesujący Wieczór autorski M. Bonieckiej i Jana Papugi. Wartość tego wieczoru polegała nie na tym, że wystąpili ci właśnie autorzy, lecz, że po raz pierwszy oglądaliśmy w Szczecinie występ literacki zawodowych pisarzy ze Związku Zawodowego Literatów Polskich. Dotychczas bowiem Klub Literacko-Artystyczny urządzał imprezy o charakterze dyskusyjnym. Na wieczorze Bonieckiej i Papugi usłyszeliśmy utwory autorów o biegunowo różnej psychice i twórczości arty-

stycznej. Jan Papuga, autor wydanych niedawno „Szurów morskich“, jest autorem marynistycznym. Autentyczny marynarz, samouk, posiada duże bogactwo przeżyć marynistycznych oraz zacięty upór proletariacki, z którym przedziera się na ogół zwycięsko przez stereotypową inteligencję naszej ubogiej literatury marynistycznej. Bogactwo wrażeń, świeżość podejścia i brak rutyny — to sprzymierzeńcy Papugi.

Pomimo przytoczonych na początku zastrzeżeń należy stwierdzić, że potęga prasy jest w Szczecinie bardzo wielka. I to właśnie na odcinku literackim. Jeden bowiem z artykułów „Odry“ pt. „Odwiedziny w Bibliotece Miejskiej w Szczecinie“ narobił takiego szumu w sławetnym grodzie Gryfa szczecińskiego i w odległej Warszawie, że przyniósł nad wyraz zbawienne rezultaty. Jak już donosiliśmy, Biblioteka Miejska w Szczecinie, zawierająca około 300.000 tomów cennych książek oraz 20.000 starodruków, leżała sobie odłogiem administracyjnym w Szczecinie. I naraz natchniony artykuł sprowadził gorącą burzę. Odtajniał zamrożone subwencje,

pepły kry przyznanych dawno dotacji i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki spłynęły fale pieniędzy do bokami robiącej, Biblioteki.

Wróćmy jednak jeszcze do Klubu Literackiego, tej jedynej instytucji kulturalnej na terenie Szczecina, dającej od czasu do czasu ciekawski zastrzyk artystyczny tutejszej publiczności. Klub zamierza urządzić w najbliższym czasie dalsze „wieczory autorskie“ zapowiadającemu swój przyjazd G. Moreinkowi, Szelburg-Zarembinie oraz J. Tuwimowi. Au torzy ci mogą liczyć na jak najwyższe przyjęcie w Szczecinie, chociażby ze względu na sensację, jaką budzi tu dźwięk „wielkich“ czy ogólnie znanych nazwisk oraz niezwyklej prężności Zarządu Klubu, znajdującego na wyłot drogi do zainteresowania publiczności, łącznie z cytowanymi już zaproszeniami. Na razie klub organizuje dwa ciekawe wieczory

artystyczne — „Turniej recytatorski“ dla amatorów oraz „Turniej muzyczny“ dla amatorów oraz wykonawców, nie występujących zawodowo. Imprezy te mają na celu wyszukanie nowych sił artystycznych na odcinku recytatorskim i muzycznym. Klub zamierza również stworzyć swoje filie w innych miastach i miasteczkach Pomorza Zachodniego, ca rozruszałoby niewątpliwie życie kulturalne w tych ośrodkach. Na razie miasta te, zwłaszcza tak „niepodłe“ i stosunkowo duże, jak Koszalin i Słupsk, przesładuje sen nocy zimowej.

Na tym miejscu należy też zasygnalizować pojawienie się ciekawej broszury o Pomorzu. Jest to książka T. Jakubowicza pt. „Polska Odrodzenia na Pomorzu Zachodnim“, wydana nakładem szczecińskiej spółdzielni wydawniczej „Polskie Pismo i Książka“. Wartość tej książeczki polega nie tylko na tym, że jest to trzecia z kolei publikacja wydana w Szczecinie i o Szczecinie (pierwszą była praca Świokły — „Szczecin dawniej a dziś“, drugą — P. Zaremby i Cz. Piskorskiego — „Polska flaga w Szczecinie“). Zasadniczą jej wartość wypływa z tego, że jest ona pierwsza, planowo opracowana i rzeczowo, choć skromnie ujęta, publikacją o całym okręgu Pomorza Zachodniego. Mniej tu wspominków historycznych, zastąpionych zresztą szczęśliwie dobranymi ilustracjami, więcej natomiast informacji gospodarczych ze wszystkich dziedzin odbudowującego się życia. Interesująco zebrane materiały o kwestii osiedleńczej na wsi pomorskiej, o przemyśle i rzemiośle, a przede wszystkim o porcie, uzupełniają artykuły o zagadnieniach społecznych, dając w rezultacie — w skrócie naturalnie, pierwszy wszechstronnie obraz dokonanych i osiągnięć na Pomorzu Zachodnim. Jedyną luką tej pożytecznej książeczki jest brak opracowania zagadnień kulturalnych. Nie ma w niej ani słowa o wyższych uczelniach w Szczecinie, o pracy dwóch zawodowych teatrów Pomorza Zachodniego, ani też wzmianki o takich instytucjach, jak Klub Literacko-Artystyczny, Radiostacja Szczecińska czy prasa na tutejszym terenie. Pomimo tego jest to praca cenna. Stanie się bowiem przewodnikiem dla każdego, kto chce się poinformować o stanie półtorarocznych prac na terenie Pomorza Zachodniego.

„DO TRZECH RAZY SZTUKA“ WYSTAWIONA

Życie teatralne Szczecina rozwija się pod znakiem „do trzech razy sztuka“ wystawiona. Na czwarte bowiem przedstawienie na ogół już się nie chodzi. Pomimo tego teatr „Komedia Muzyczna“ ciągnie każdą sztukę za włosy poprzez cały miesiąc, pukając jednocześnie do wszystkich instytucji o subwencje i pomoc. Trzeba przyznać, że subwencje te nie

plną, jak z rogu obfitości, z różnych zresztą względów. Jedną z subwencji jednakże „przyszła“ i posiada duże znaczenie dla teatru. Jest nią milionowa dotacja, przeznaczona na przebudowę teatru i rozszerzenie urządzeń technicznych. Jest to posunięcie mądre. Budynek teatru bowiem był dawniej kinem i stąd jego akustyka i urządzenia sceniczne szwankują. Brak mu też rekwizytów teatralnych, toteż mądrze by zrobił Zarząd Miejski, gdyby wstawił po-każniejszą kwotę w nowym budżecie nie na — broń Boże! — gaże aktorskie, lecz właśnie na kostiumy i dekoracje. Byłaby to trwała zdobycz, która — oprócz przebudowy teatru — umożliwiłaby następnej dyrekcji większy start teatralny. Do obecnej bowiem dyrekcji nie przywiązuje się większej nadziei ze względu na kardynalne nieliczenie się z repertuarem i głębszą myślą teatralną. Zastrzeżenia wysunięte przeciwko „Komedii“ polegają na tym, że ten, bądź co bądź reprezentacyjny, teatr szczeciński, wystawił dotąd, w ciągu pierwszego kwartału, na pięć sztuk tylko jedną polską. Jest to nie tylko niezgodne z pragnieniami, jakie żywiliśmy od początku istnienia tego teatru, ale także dlatego, że, jak wiadomo, jest to sprzeczne z zaleceniami Ministerstwa Kultury i Sztuki, ściślej mówiąc Departamentu Teatru. Departament bowiem poleca wszystkim teatrom polskim, ażeby repertuar granych sztuk zawierał 3/5 sztuk polskich, a tylko 2/5 obcych. Tymczasem „Komedia Muzyczna“ pojęła tę zasadę, jak dotychczas wprost odwrotnie, z tym jeszcze ujemnym dodatkiem, że repertuar obcych sztuk ogranicza się całkowicie do tzw. lekkiego repertuaru. „Komedia Muzyczna“ bowiem jest teatrem dla aktora i aktorki, a nie dla aktorów i publiczności. Repertuar układa się stale w ten sposób, że daje on pole popisu dla jednego czy dwóch aktorów, resztę zaś spycha w cień. Należy jednak stwierdzić, że nacisk pewnych kół kulturalnych w Szczecinie zaczyna odnosić powoli skutek. „Komedia Muzyczna“ nie liczy już na grzecznościowe recenzje „Kurierza Szczecińskiego“, lecz zaczyna się poważnie zastanawiać nad swym repertuarem. Pierwszym krokiem naprzód i przelamaniem „gałgankowej“ linii repertuarowej była najnowsza premiera tego teatru, mianowicie wystawienie „Zemsty“ Fredry (szóstej z kolei sztuki).

Przedstawienie „Zemsty“ było, jeśli chodzi o wykonanie, spektaklem na ogół udanym. Szczególnie uderzało ciekawe ujęcie postaci Rejenta przez p. Daszewskiego, aktora używającego dotąd swój talent na granie zblazowanych hrabiów w różnych „Gałgankach“. Daszewski umiał szczególnie połączyć w postaci Rejenta godność szlachecką z zimnym, obojętnym i lisim charakterem palestranta szlacheckiego. W dotychczasowych kreacjach tej po-

staci widzieliśmy natomiast raczej pokornego szlachciurkę, prawie urzędnika, a nie szlachcica. Z tego względu interpretacja Daszewskiego zasługuje na podkreślenie. Druga, kapitalna postać komedii, mianowicie Cześnik miał znowu w ujęciu p. Zbyszewskiego za mało tej szlacheckości i bujnego karmazyństwa, więcej natomiast zabijaki i hałaburdy. Zawiodł p. Słowiński jako Papkin. Oczekiwaliśmy czegoś więcej od tego najzdolniejszego aktora „Komedii Muzycznej“. Papkin w jego ujęciu był raczej błaznem aniżeli fredrowskim „miles gloriosus“. fanfanem i samochwałem. Reszta postaci przeciętna. Opracowanie malarskie i dekoracyjne budziło dużo zastrzeżeń, jak również sposób ucharakteryzowania. Napiętnować natomiast trzeba wyraźnie napisany okropną polszczyzną wstęp „objaśniający“, zamieszczony w prospekcie sztuki, a napisany i podpisany przez kierownika literackiego „Komedii Muzycznej“. Ten wstęp nada się do „Gabinetu osobliwości“ językowych „Szpilek“.

Mówiąc o „Komedii Muzycznej“ nie sposób nie wspomnieć o drugim teatrze, który wprawdzie ze Szczecinem związany jest tylko wspomnieniami i odwiedzinami. Myślę o Teatrze Miejskim w Słupsku, który wystąpił w Szczecinie w okresie świątecznym ze sztuką G. Zapolskiej pt. „Ich czworo“. Teatr ten, w przeciwieństwie do „Komedii“, rozporządza może słabszymi siłami zawodowymi, przewyższa jednak „Komedie“ o całe niebo przemyślanym repertuarem i teatralnym podejściem do publiczności. Teatr Miejski gra już od kilku miesięcy w Słupsku, wystawiając tam co dzień nową sztukę. Po „Ich czworo“ i „Trójce małżeńskim“ wystawia „Rewizora z Petersburga“ i „Słuby panienskie“. W przygotowaniu znajduje się aktualna sztuka węgierska „Małżeństwo“ oraz „Balladyna“. Teatr ten powstał i inicjatywy wojewody szczecińskiego i od kilku miesięcy spełnia doskonale swoje zadania we wschodniej części Pomorza Zachodniego. Rzeczą godną podkreślenia jest wysoki procent wartościowych sztuk polskich. Niestety, nikt, poza wojewodą, nie spieszy z pomocą temu teatrowi, przeciwnie, pewne czynniki „kulturalne“ i to w Warszawie utrudniają mu pracę opóźniając od kilku miesięcy wydanie licencji teatralnej. Sprawa ta wola o pomstę jeżeli nie do nieba, to przynajmniej do Ministerstwa Kultury i Sztuki i wymaga osobnego omówienia.

Oba teatry — w Szczecinie i w Słupsku — to niezwykle ważne współczynniki życia kulturalnego na Pomorzu Zachodnim. Oby tylko czyjeś czujne oko na sprawy duchowe nie pozwoliło spaczyć idei teatralnej obu tych teatrów i dało im odpowiednią pomoc materialną.

Stanisław Telega.



Wznowienie!

„bo Władysław, syn Jagiellowy, dictus Warneńczyk, jest piękną postacią. Nietylko jako rycerz ideału, lecz jako żywy dowód niezwykłej potęgi i atrakcyjności kultury polskiej...“

UNIwersytet nad Odrą

JEDEN z najpiękniejszych zabudków Wrocławia, jakim bez wątpienia jest główny budynek Uniwersytetu, nie robi od strony Odry tak imponującego i miłego wrażenia, — jak od strony miasta. Bo właśnie z miastem bezpośrednio graniczy ów plac niewielki o osobliwym uroku i charakterze dziedzińca, zamknięty z jednej strony ścianą stylowego gmachu uczelni i kościoła św. Macieja — z drugiej strony mieszczanскими domami. Komu, — kto choćby tylko przelotnie zna Wrocław — obcy jest widok owego placu Uniwersyteckiego, ze stojącą pośrodku fontanną ozdobioną statua szermierza, placu rojącego się od młodych ludzi?

A ów gmach Uniwersytetu dlatego jest ciekawszy od strony miasta niż rzeki, ponieważ fundatorzy jego Jezuici, musząc się liczyć ze szczupłością przydzielonego im pod budowę miejsca, zdecydowali się porzucić myśl symetrycznego rozwiązania planu przyszłego kolegium, dostosowując go raczej do istniejących możliwości terenowych. Stąd owa linia krzywa korpusu łączącego architektonicznie Uniwersytet ze świątynią, linia, wprowadzająca zresztą dużo ożywienia.

Jak widać z dawnych planów i sztychu z 1750 r., budowla ta miała mieć wygląd jeszcze bardziej reprezentacyjny, niż dzisiaj. Ale wykonanie planu nie było łatwym. Gdyż, mimo iż cesarz Leopold wydał w r. 1702 akt fundacyjny, powołujący do życia „Universitatem Leopoldinam“, ewangelicki magistrat robił wszystko, aby tylko katolickim mnichom, mającym opiekować się uczelnią, nie pozwolić na wzrost ich znaczenia i wpływów i na zajęcie dalszych terenów, należących do miasta, oraz na zburzenie części murów obronnych, co dla powstania w tym miejscu budynku kolegium, było warunkiem nieodzownym.

Gmach stanął jednak mimo wstrętów czynionych przez Radę Miejską w miejscu, gdzie istniał do niedawna średniowieczny zamek. Kamień węgielny pod tę fundację jezuicką założony został dnia 6 grudnia 1728 r. Prace trwały przez lat kilkanaście, do r. 1736. Nie zostały jednak zakończone tak, jak projektowano, gdyż oprócz przewyżnionych w końcu kłopotów z Magistratem wystąpiły inne. Śląsk został bowiem zajęty przez Fryderyka II Wielkiego, w wyniku czego powstało zamieszanie polityczne i gospodarcze. W r. 1741 np. musiał nowo wzniesiony budynek służyć jako pruski szpital wojskowy. Ale tak, jak się on dziś przedstawia, choć jest znacznie niższy i krótszy niż było w planie, reprezentuje tzw. „śląski barok“, jest ze wspaniałym miar godnym uwagi i konserwacji.

Monotonie długiej na 171 m. północnej ściany dzisiejszego Uniwersytetu miały przerywać prócz pilastrów, kamiennych obramień okiennych do dziś zachowanych, także trzy wieże, z których środkowa, projektowa ponad brama sklepioną, pod którą przelewa się obecnie ruch uliczny, winna była strzelać wysoko w górę i przypominać swym charakterem wieże kościelne. Zdącono jednak wybudować tylko wieżę nazwaną później „matematyczną“. Była ona udekorowana latarnią pokrytą kopulastym dachem z globusem u szczytu. Na galerijce, obiegającej wieżę, stały cztery ponad naturalnej wielkości figury alegoryczne, wyobrażające: „Prawo kanoniczne“ z mitrą papieską oraz wagą, „Teologię“, z krzyżem i książką, — „Astronomię“ z kulą ziemską i cyrklem oraz „Medycynę“ z laską Eskulapa. W tej wieży od 1790 r. — aż do pierwszych lat XX wieku mieściło się Wrocławskie obserwatorium astronomiczne, w którym pracował m. in. u-

czony Polak, dyrektor zakładu w latach 1831—1851, prof. Bogusławski. Reszta płaszczyzny dachu spadzistego pozostała gładka.

Najokazalszą jest właściwa frontowa ściana budynku uniwersyteckiego, zwrócona ku południowi, czyli w stronę miasta. Lecz z tej strony nie można objąć wzrokiem całości gmachu, gdyż za wyjątkiem wspomnianego już placu z fontanną i statua szermierza, — zakrywają ją blisko naprzeciw stojące kamienice czynszowe. To też tylko ta część Uniwersytetu, która najbardziej wysuwa się w kierunku miasta i przez dużą sień, wybudowaną w 1740 roku, wiąże się architektonicznie ze szczytową ścianą kościoła akademickiego — widoczna jest z perspektywy ulicy Kuźniczej. W niżej frontowej ścianie owego skrzydła widzimy figurę św. Ignacego Loyoli, wykonaną tak jak i poprzednie z piaskowca w ponadnaturalnej wielkości. Ustawiono ją tam w 1736 r. Wielki jezuita przedstawiony jest w stroju założonego przez siebie zakonu z daleko wyciągniętymi naprzód rękoma.

Frontowa ściana gmachu Uniwersytetu jest bardzo ozdobna, choć jeśli weźmie się pod uwagę właściwości baroku, trudno mówić tu o przeładunku. Główny środek dekoracyjny — pilastry, zakończone są pysznymi głowicami, wszystkie okna ujęte są w stylowe obramienia o bogatych motywach (m. in. powtarza się motywy wazy), niektóre zaś zaopatrzone są w piękne, ręcznie kute kraty żelazne.

Osobliwie uwagę zwraca ryzalit środkowy z mieszczącym się w nim głównym wejściem. Na barierze kamiennego balkonu wysuniętego ponad drzwiami, na odpowiednich postumentach, które umieszczone pomiędzy poszczególnymi częściami balustrady, dzieli ją na trzy części, stoją znów cztery figury kamienne, tej samej wielkości, co poprzednio wzmiankowane. Wyobrażają one cztery cnoty kardynalne: „Sprawiedliwość“, „Umiarkowanie“, „Męstwo“ i „Mądrość“. Postacie, zgodne z duchem epoki i stylu, noszą ciężkie, w bujne fałdy ułożone suknie i kunsztowne fryzury. U ich stóp widzimy amorki z insygniami, tłumaczącymi symbole owych kobiecych postaci.

Jeszcze bardziej reprezentacyjnie niż z zewnątrz — przedstawia się gmach Uniwersytetu wewnątrz. Ale dzisiaj są to już niestety tylko resztki dawnej wspaniałości, gdyż budynek został pośrodku zawalony aż do głębokości parteru.

Tylko więc w kondygnacjach szczęśliwie ocalałych oglądać możemy bogate szczegóły dekoracyjne. Począwszy od klatki schodowej, jaką niekiedy historycy sztuki nazywają najpiękniejszą w barokowym stylu sztuki, sztukaterie oraz malowidła ściennie i sufitowe pędzla Feliksa Antoniego Scheffera. Przedstawiają one księstwa śląskie z wyobrażeniem miast i herbów Cieszyna, Opola, Brzegu, Raciborza i innych, oraz najwspanialsze kościoły prowincji. Zwracają też uwagę bardzo ozdobne w marmurze kute obramowania drzwi.

Do najokazalszych z całego gmachu należała zburzona w czasie działań wojennych sala „muzyczna“ przeznaczona początkowo przez zakonników na „Oratorium Congregationis Latinae Maioris Beatae Virginis“. Odbływały się w niej kiedyś koncerty z udziałem wybitnych muzyków i odczyty. Freski w sali „muzycznej“ malował w 1733 roku Jan Krzysztof Handke. Ich treść odnosiła się do życia i działalności Matki Boskiej. Z powodu nie wielkiej wysokości sali, freski sufitowe z widocznym na nich wpływem Rubensa i Jordana, można było oglądać w szczegółach. Dziś nic już z tego nie pozostało.



Widok auli Uniwersytetu Wrocławskiego w dniu pierwszej inauguracji polskiego roku akademickiego (9. 6. 1946).

Na szczęście prawie w całości zachowała się tzw. „Aula Leopoldina“, nosząca miano swe od imienia cesarza, fundatora Uniwersytetu. Wprawdzie dzisiejszy jej stan także pozostawia wiele do życzenia, ale całość wciąż jeszcze robi na przybyśzu kolosalne wrażenie. Właśnie w tej auli bogactwo i rozmach baroku osiągnęły swój szczyt. A można je swobodnie podziwiać, gdyż dwustronne oświetlenie daje mnóstwo światła.

Lecz doprawdy nie wiadomo na co patrzeć w pierw: czy na cięż-

kie sztukaterie, zdobione ściany i częściowo sufit, czy na patynę bogatych złocień, na smukłość pysznych kolumn, subtelne wypracowanie pilastrów, czy wręcz na freski także pędzla Handkego. Alegoryczny program malowideł tworzy stosunek Sztuki i Nauki do Religii. Kompozycja fresków sufitowych jest tego rodzaju, że gdy stanąć pośrodku sali, wszystkie szczegóły, mające wyobrażać architekturę, zdają się dążyć ku nam prostopadle, zaś postacie nie wyglądają skręcone. W mocnych kolorach przeważa błękit i

barwa rdzawo-brunatna. Malowidło zaś ponad najbardziej ozdobną częścią sali, to jest absyda, przedstawia symboliczne poświęcenie Uniwersytetu Matce Boskiej. W Jej otoczeniu widoczna jest między innymi także i św. Jądwiga z klasztoru w Trzebnicy.

Aula, mieszcząca się w części budynku Uniwersytetu jeszcze nie udostępnionej ze względu na straszne spustoszenie sal przyległych — jest uratowana. Ale o tym, jak wyglądał cały gmach w chwili zajęcia go przez władze polskie opowiada najlepiej Rektor Prof. Stanisław Kulczyński:

... „Wspaniały budynek barokowy rozcięty uderzeniem bomby na dwoje. Ocalałe skrzydła spoglądają na nas szeregiem ogromnych czarnych otworów ze szczątkami futryn i ram okiennych. Ruinę pokrywa korona cierniowa zwichrzonych i częściowo zwegłonych belek olbrzymiego rusztowania dachowego. Dostęp do gmachu zamyka barykada z książek zamokłych i zaatakowanych pleśnią. Przez rozgrodzoną bramę wchodzimy do klatki schodowej i pniemy się na pierwsze piętro. Stąpamy ostrożnie, spoglądając w górę, gdzie splekane sklepienia budzą niepokój i pod nogi, gdzie wyglądające spod gruzu pięć pancerne i ukryte wśród śmiecia granaty ręczne nakazują przeorność. Wchodzimy do wspaniałej barokowej auli zasłanej bronią i mundurami wojskowymi. Na połamanych ławach leżą zdruzgotane ogromne okna wywalone z futryn. Piękna polichromia ścian i stropu świeci ogromnymi białymi plamami opadłego tynku. W głębi, zza fotela rektorskiego obitego czerwonym aksamitem spogląda na salę brązowy posąg Fryderyka Wilhelma, założyciela Uniwersytetu, ubrany w cylinder komiarsza.“

Od tego czasu zrobiono wiele. Zrobiono tyle, ile można było uczynić, aby ratować, co dało się uratować małym stosunkowo kosztem. Ale koniecznie należy odbudować cały korpus, w jakim znajdzie pomieszczenie administracja Uniwersytetu i Politechniki, Wydział Prawa zyska sale wykładowe a Instytut Geograficzny dogodne pomieszczenie. Wrocławowi zaś zachowa się w ten sposób jeden z najpiękniejszych zabytków Ziemi Dolnośląskiej.

Chodzi o to, aby Ministerstwo Ziem Odzyskanych czy Ministerstwo Odbudowy jak najrychlej uruchomiło odpowiednie kredyty, gdyż gmach niszczeje z każdym dniem coraz bardziej. Co raz trudniejszą staje się jego odbudowa, którą musi się zacząć wczesną wiosną, jeśli gmach w ogóle ma być uratowany.

Aleksander Rymkiewicz

Do pisarza

Szczęśliwy kraj, kiedy broń rdzewieje i pierwsza ruń spalona pola już przysypie.
Szczeniwy wiek, co poetę rodzi, gdy słucha on trzepotu łuny co odchodzi i krwawym kręgiem dalej w przeszłość, w przepaść wieje.
W szczęśliwym dniu poeta też zaczęta praca, gdy małym biednym stworom, którzy ludźmi byli, co z betonowych wybiegają schronów, z uśmiechem ludzkie twarze znów przywraca.
Ale ty pomnij, że uniosłeś głowę cało z tych śmiercią strzaskanych ustroni potę, by mądrość stamtąd wziąć do dłoni i takim piórem pisać nasze dzieje.
I przyjdzie syn, spod ronda kapelusza wzrokiem i czasy i dzieła odmierzy i dłonią twardą jedne w pył rozwieje, a inne poniesie cisnąc do piersi, jak wianek róż wśród huku dział i lun i śmierci.

Jan Baranowicz

Kraj za horyzontem

Jakoś nie umiem iść na kompromisy, choć serce moje toplitwe jak woski.
Wieśniak, ze wspólnej niechętnie jem misy, chociaż sentyment mam do niej ojcowski.
Szle nie pętają moich ramion, Lubie ustronne w polu pejzaże skowroncze.
Więc miejsca w żadnym nie wygniatam klubie i wiem, że lata bez kariery skończę.
I zły sąd zyskam i lekceważenie, co bzyceć będzie w konsze snów jak szerszeń, że zamiast toczyć społeczne kamienie, Ojczyzny ogród ubieram we wiersze.
Ze zamiast mundur na pasji plec gościć, w epikurejskiej grzęznię faldach togi.
A ja, nimem się dorobił mych włosów, tyłem potyczek zwiódł z sobą i Bogiem.
Tyłem niesfornych nocy jak Hiob płoń, astrologiczną owrzdziadła treścią.
Odległy alfom gwiazd i epsilonom, choć wiatr ich wielki wciąż we mnie szeleścił.
Cóż — to Platonem lka i Kasproczem i nie ma w sobie przypraw z awangardy —
Ha, każdy sobie rzepkę skrobie. Z niczym upór ostawi mię na ścieżce wzgardy.
Przyjąć następstwa — to front mój i tarcza.
W terażniejszości izbie mieszkać kątem.
Mnie już ten kościół, co wam, nie wystarcza: —
dojrzałem z okna kraj za horyzontem.

Portrety i portreciki

Kraków nie może się uskarżać na brak artystów. Przeciwnie — gdzie spojrzysz, tam długowłose malarz, przebierający palcami muzyk i poważnie kroczący literat z rękami założonymi do tyłu. Muzyków rejestrowanych w Związku jest kilkuset, malarzy niewiele mniej, a ludzi pióra — stu sześćdziesięciu. Starych i młodych. Kobiet i mężczyzn oraz takich, co to nie wiadomo, co z tego wyrosnie. Stu sześćdziesięciu, a więc prawie jedna trzecia część z ogólnej liczby pisarzy w Polsce. Toteż po ulicy Krupniczej, gdzie mieści się lokal Związku, suną



Jerzy Andrzejewski. Je.

oni całymi korowodami, przystają przed wystawami, mówią do siebie, lub kłócą się z entuzjastami na rogach przecznic. W południowych godzinach, gdy otwiera swoje podwoje stołówka — złażą się ze wszystkich stron miasta na cienką zupę i coś tam jeszcze, a w rzeczywistości, aby się nagadać i wypowiedzieć kilka uszczypliwych aforyzmów na kolegów i koleżanki. Atmosfera robi się gęsta od obmów, od cichych uwag skierowanych na siedzących przy sąsiednich stolikach, od lekkich inwektyw i delikatnych oszczerstw. Błada przybyszowi nieświadomemu sprawy. Obiad nie będzie mu smakował, piwa nie dopije i wkrótce umrze z ciekawości — podsłuchawszy strzępy niejednej rozmowy, prowadzonej w dyskretnych syntolach i nieuchwytnych ozdóbach stylistycznych. Dowie się bowiem różnych ciekawych rzeczy, o których miał pojęcie, ale nigdy nie będzie wie dział, kto to mówił, z kim i do kogo. Bowiem pisarze doskonale się konspirują. Ten i ów przybiera coraz to nowe oblicze, coraz to inne wygłasza zdania. Trudno zaiste niewtajemniczonymu rozróżnić Kisielewskiego od Jana Alfreda Szczepańskiego, Gałczyńskiego od Przybosa, a już zupełnie będzie bezradny, gdy zechce zidentyfikować Małewską. Nie uda mu się poznać jej wśród Grzybowskiej, Starowieyskiej-Morstinowej i Mortkowiczówny. Tak już jest. Klan literacki jest trudny, wieszają na sobie psy, ubijają sobie dostojnie na różnych łamach, ale jak przyjdzie co do czego — ten stanie za tym, tamta przybierze postawę owej, a jeszcze ktoś inny zamieni się w kogoś innego. Solidarność — proszę państwa — że tak się wyrażę, zawodowa. Obgadać się lubią, owszem, nie można powiedzieć, ale gdy ktoś spoza klanu chce się dobrać do ich skóry — robi się nagle rząd jedności i हुआ wszyscy na śmiałka. I wtedy nie wiadomo kogo się obraziło. Pisząc przeciw Gałczyńskiemu, nawet nie wie się, że obraziło się tym Szczepańskiego Jana Alfreda, natchnionego publicystę i popularnego Jaszczaka. Atakując Kisielewskiego, naraża się ów odważny na głośny protest Żółkiewskiego. D'a tego lepiej siedzieć cicho, zgrzytać zębami przy kominku, nabierać wstrętu do pióra i w ogóle dać spokój. Z takim towarzystwem nie da się nic zrobić. Niech się lepiej sami zjedzą, niech polemizują aż do uśmiechniętej śmierci. Znam wielu takich ludzi okaleczonych, w których wbił swe zjadliwe szpady pisarze, ponieważ osmielili się

wtrącać, lub zadawać kłopotliwe pytania. Siedzą teraz w domu i haftują, albo poświęcili resztę życia wycinankom i stawianiu pasjansów.

Ktoby jednak chciał przyjechać do Krakowa, zająć na ulicy Krupniczej 22, złożyć obiad z dwóch dań za 40 złotych i przypatrzeć się tej śmietance, posłuchać literackich rozmów, ten musi przysiąc sobie solennie, że nie odezwie się ani słowem, siądzie jak trusia i tylko od czasu do czasu typnie okiem na kogoś. Temu podobnym postanowiłem przyjść z pomocą. Podam im kilka szczegółów, zwyczajnych charakterystyk, dzięki którym zorientują się szybko, kogo mają przed sobą i żaden dowcipny pisarz ich nie nabierze, przybierając szybko postać swego wroga w literaturze. Będą to bowiem wiernie odtworzone portrety naszych współczesnych pisarzy polskich, zamieszkujących piękne mury Krakowa. Wiem jednak, że widok literatów pobudza do myślenia, oraz — co gorzej — do pisanja i wiem, że niektórzy nie wytrzymają, napiszą coś, wywołają niechcący lawinę dyskusyjną, kampanie prasowe i zjadliwe ujadania — podam tym nerwowszym, co wolno o danym pisarzu napomknąć, a co przemilczeć, aby nie stać się kozłem ofiarnym, przedmiotem kpin i nienawiści.

Ten, co siedzi nad dymiącym talerzem rosółu (rzecz dzieje się w stołówce literackiej), ten smutny jasny szatyn, to Jerzy Andrzejewski, prezes i prozaik w jednej osobie. Cechy szczególne: powieść w odcinkach. Robi to od dawna i dobrze, z tygodnia na tydzień, nie zapominając, co się działo w rozdziałach poprzed-



Jerzy Zawieyski. Idzie.

nich. Nie wie, czy jest marksistą, czy chrześcijaninem, ale wie, że nie jest ani jednym, ani drugim. Pisać można: młody, znakomity, chętnie autor „Ładu serca” i humanista. Nie lubi natomiast: złych sądów o Zygrydzie Undset, przemówień i porównań z Klementyną z Tańskich Hoffmanową.

Dalej przy stole wypoczywa Stefan Kisielewski. Czyta artykuł Świrszczyńskiej o antyalkoholizmie i zapija się z żalostí po dziurki od nosa, chlipiąc co chwile: co się z tą Anią stało? Kisielewski podobny jest do wyleńskiego szczura, jak już to napisał o sobie w „podwłosiu”. Ostatnio ks. Piwowarczyk wywołał Kisielewskiego na scholastyczną dysputę, kto kogo przekona, czy katolik może pisać powieści o kompleksach erotycznych, czy też nie. Kisielewski jest przyjacielem Jaszczaka i mówią do siebie per kochas'u. Jest muzykalny, napisał nawet koncert na piccolo flet z towarzyszeniem orkiestry. Pisać może radykalny katolik, opozycjonista z woli narodu, przystojny, przyjaciel Piaseckiego itd. Nie lubi: wszystko inne.

Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego jest najtrudniej poznać. Sam autor niniejszego felietonu czasem go nie poznaje, zmienia on się często w baletnicę, w linoskoczka, w bogatego bankiera z 50 tysiącami w kieszeni, oraz w poetę. To ostatnie przebranie jakoś ostatnio zarzucił. Ma on wspaniałą gryzwę, czarny beret i piękną żonę. Po tym się go najczęściej odróżnia

od innych. Lubi, gdy się pisze o nim: ukryty wieszcz, postrach Texasu, członek bractwa eleuteiryków. Nie znosi: aluzji pod adresem „Przekroju”, bomby atomowej i nudy, oraz nocy sentymentalnej. Acha. Pisuje wiersze.

Wysoki, czarny, z nosem jak gasidło, stale chorujący na kompleks tak zwanej pospolicie niższości — Stefan Otwinowski, opiekun młodych pisarek krakowskich, członek i założyciel towarzystwa walczącego z rasizmem, kierownik literacki kilku scen, wiceprezes, autor powieści i dramatów, posiadacz abonamentu w cukierni Noworolskiego, szanowany epistolograf. Tego poznać łatwiej. Mówi się tylko: gdzie tu jest najzdolniejszy pisarz? Otwinowski zaraz wychodzi ze sali, nie lubi — jak już zaznaczyłem — owacji i podobnych incydentów. Wolno pisać: skromny, bez emfazy, obrońca sekt religijnych, ładnie pisze. Wywołują u niego gniew: komplementy, brak pochwał, brak zaszczytów (lubi pracować społecznie) i nieobecność żony.

Jeśli nikogo nie ma w stołówce, to na pewno jest w stołówce Jalu Kurek, tylko siedzi przy stole i trudno go zauważyć. Lu-

bi swoje Jalu i nie cierpi swego Franciszka. Obok niego może się dzieć również Jerzy Broszkiewicz i dlatego stołówka wydaje się pusta.

Natomiast Artur Maria Swinarski wypełnia salę całkowicie. Jest stałym ośrodkiem zainteresowania właścicielki bufetu i licznych różnych gości. Chytrze umie zmieniać się w Zechentera. Niejednokrotnie napisał dowcipny wierszyk. Cecha charakter-



Stefan Otwinowski. Wchodzi.

styczna: pali w piecu wyłącznie smolnymi drwami (pamiętajcie — Balzak, lubi! zgnije jabłko).

Nie lubi: o sobie. Lubi: o kimś. Tadeusza Peiperę, poznaje się po tym, że nie nosi teraz szalika naokoło szyi, zrećnie zarzu-

conego do tyłu i że pisze do „Odrodzenia” renesansowe madrygaly, ukrywając je umiejętnie pod postacią recenzji teatralnych.

Jerzy Zawieyski spaceruje z mszałem i recytuje trudniejsze psalmy Dawidowe. Przeczytał wiele podręczników psychologii i napisał psychologiczną powieść. Na głowę przywdziewa sombrero. W Krakowie znają go wszyscy, jest to popularna osoba w rodzaju Brata Alberta, albo Janz Wiktor. Bardzo nie lubi: sprostych rozmów, dzieci, które krzyczą w przyległym pokoju i niepowodzenia w teatrze. Raduje się: dobrym słowem, swoimi artykułami i szczęściem bliźniego. Człowiek z rodzaju złotoustych.

Najbardziej kochanym przez wszystkich jest Adam Polewka. Trudno go jednak uchwycić i poznać. Ma swoje ścieżki, od dawna udeptane. Człowiek o gołęmbim sercu. Największym dla niego nieszczęściem było zgubienie nowego kapelusza piłśniowego, który dostał od klubu cyklistów za swoją działalność na tej niwie. Nie będę pisać co lubi, a czego nie znosi, bowiem nikomu nie uda się go rozpoznać. Szkoda trudu.

Takie są portrety niektórych pisarzy krakowskich. Nie przesadziłem w ich rysunku, nie zataiłem ważniejszych cech. Ciekawy śmiałku, jeśli lubisz ryzyko, wstąp na Krupniczą i próbuj się kierować moimi opisami. Ręczę ci, że w lot poznasz wszystkich. Tadeusz Kwiatkowski.

W 1947 r. » WIEDZA « wyda następujące arcydzieła literatury światowej.

Balzac H.
JASZCZUR — tłum. Boy-Zeleński

Balzac H.
KAWALERSKIE GOSPODARSTWO — tłum. Boy-Zeleński

Balzac H.
KUZYNKA BIETKA — tłum. Boy-Zeleński

Balzac H.
WIELKOŚĆ i UPADÉK CEZARA BIROTEAU — tłum. Boy-Zeleński

Boccaccio G.
DEKAMERON — tłum. E. Boye

Cellini Benvenuto
ŻYWOT WŁASNY — tłum. L. Staff

Cervantes
DON KISZOT z LA MANCZY — tłum. E. Boye

Cervantes
NOWELE PRZYKŁADNE

Cooper F.
PILOT — tłum. Rychliński

Dickens K.
DAWID COPPERFIELD

Dickens K.
MAŁA DORRIT

Dickens K.
OLIWER TWIST

Dickens K.
OPOWIEŚĆ o DWÓCH MIASTACH

Dickens K.
OPOWIEŚCI WIGILIJNE

Dostojewski T.
BRACIA KARAMAZOW — tłum. Al. Wat

Dostojewski T.
ZBRODNIA i KARA

Flaubert G.
MADAME BOVARY — tłum. A. Micińska

France A.
GOSPODA POD KRÓLOWĄ GĘSIĄ NÓŻKĄ — tłum. Jan Sten

Gorkij M.
MOJE UNIWERSYTETY — tłum. Sławar

Hugo W.
HAN z ISLANDII

Hugo W.
KATEDRA NAJŚW. MARIII PANNY

Hugo W.
NĘDZNICY

Hugo W.
ROK 1793

Kipling R.
PIERWSZA KSIĘGA DŻUNGLI — tłum. J. Birkenmayer

Kipling R.
DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI — tłum. J. Birkenmayer

Kipling R.
KIM — tłum. J. Birkenmayer

Kipling R.
STALKE i SKA — tłum. J. Birkenmayer

Merimée P.
CARMEN. COLOMBA

Mereżkowski D.
DEKABRYŚCI — tłum. B. Bielecka

Murger
CYGANERIA — tłum. Boy-Zeleński

Prévost K.
HISTORIA MANON LESCAUT i KAWALERA DE GRIEUX — tłum. Boy-Zeleński

Rolland R.
COLAS BREUGNON — tłum. Mirandola

Rolland R.
JAN KRZYSZTOF — tłum. L. Staff

Stendhal
KRONIKI WŁOSKIE

Stevenson
WYSPA SKARBÓW — tłum. Birkenmayer

Thackeray
TARGOWISKO PRÓŻNOŚCI — tłum. B. Dobrowolski

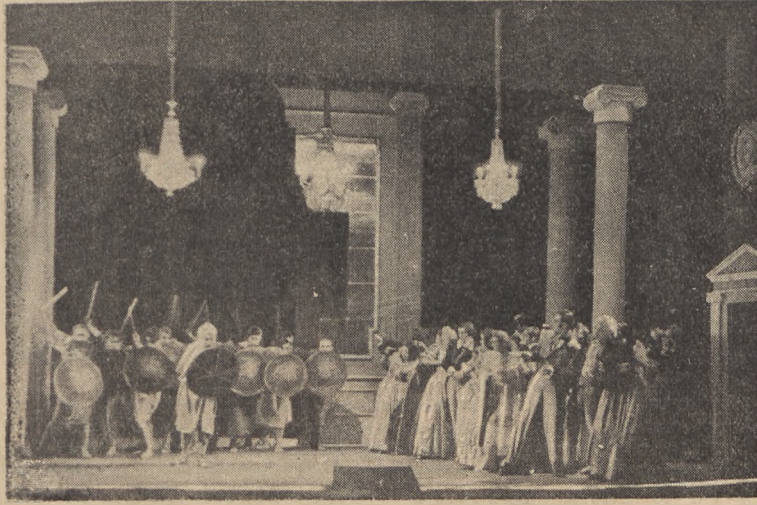
Tolstoj L.
ANNA KARENINA

Zola E.
GERMINAL — tłum. Mirandola

Oraz jednotomowe oprawne wydania klasyków polskich: A. MICKIEWICZA, J. SŁOWACKIEGO, Z. KRASIŃSKIEGO, C. NORWIDA, IGN. KRASICKIEGO, AL. FREDRY.

Toruński Norwid

Ambitny teatr Wilama Horzycy w Toruniu wystawił, po raz pierwszy w Polsce, „Za kulisami” Norwida. Z braku miejsca drukujemy na razie samo omówienie toruńskiego przedstawienia, na później pozostawiając omówienie samej sztuki, której wystawienia winny się podjąć także i inne teatry polskie.



Na zdjęciu wtargnięcie chóru Partenian.



Scena balowa. Z lewej Polak, urzędnik zagraniczny (St. Libner), z prawej poeta gminny (Al. Gajdecki).

Przystępując do realizacji scenicznej utworu dyr. Wilam Horzyca stanął przed wieloma trudnymi problemami, które musiał rozstrzygnąć sam, jako że twórca po raz pierwszy miał się ukazać na scenie. Przede wszystkim wydany przez Miriam tekst zachował się w formie niekompletnej, fragmentarycznej: brak wielu kart repokisu, układ zachowanych kart w wydaniu Miriam ma też tylko wartość hipotetyczną. Dyr. Horzyca zresztą przyjął w ogólnych zarysach układ Miriam, dokonał jednak pewnych przesunięć ze względów czysto teatralnych. Wielką trudność stanowiło też umiejscowienie „Tyrteja” w całości, gdyż pod tym względem brak nam również autorytatywnych wskazań. „Tyrteja” przypuszczalnie w pierwotnej redakcji nie należał organicznie do dramatu. Miriam przesunął „Tyrteja” na koniec utworu, umieszczając po nim tylko jedną krótką scenę zakończenia balu. W układzie takim punkt ciężkości byłby zbyt blisko końca: poważny Tyrteja wymaga wzmocnienia końcowej ramy, toteż dyr. Horzyca przerzucił kilka partii wcześniejszych na koniec utworu wraz z wierszem, który wypowiada Quidam („Na posadzkę zapustnej sceny... z kandelabrowł spada jedna iza — ale i ta jedna z wosku była”).

Całość została pojęta przez inscenizatora jako **dramat wizyjny**, leżący na tej samej linii tradycji literackiej, co „Dziady”, „Kordian”, a później „Wesele”. Związka wyraża jest analogia koncepcji kompozycyjnej, jaką łączy utwór Norwida z „Weselem”. W inscenizacji toruńskiej podkreśla tę analogię dwuplanowość sceny: na pierwszym planie odbywają się dialogi poszczególnych postaci, w głębi przesuwa się nieskończony korowód tańczących, tworząc w ten sposób tło tak wizualne, jak dźwiękowe. W dramacie Wyspiańskiego świat wizji współistnieje z rzeczywistością zmysłową, bierze w niej udział — tu wchodzi na scenę już opustoszała, gdy pierzchnie w popłochu grono tancerzy. W ten sposób podkreśla dyr. Horzyca ciągłość sprawy, która znajduje oparcie w chórze ateńskim: „W człowieka życia są chwile próżne, chwile cześć. Ale w żywocie prawdy

chwil takowych nie ma, jedno jest ciągnąć.” Na żywota maskaradzie i w tragedii greckiej ważą się przeciw te same problemy: Prawdy, Sztuki, Miłości, Cywilizacji.

W związku z tym postaci wyrastają do rozmiaru reprezentantów pewnych postaw moralnych. Jak je należy interpretować scenicznym? Jako żywych ludzi, czy marionetek? Dyr. Horzyca skierował artystów ku realistycznemu traktowaniu postaci. Ten drugi wymiar narasta sam z siebie, z wagi mówionych słów. Inszenizator nie cofnął się także przed realistycznym traktowaniem dekoracji: ścian, drzwi. Ta „maskarada żywota” jest przeciwieństwem rzeczywistości empirycznej sprawdzalną, choć stanowi zarazem — według słów dyr. Horzycy — transkrypcję innej, wyższej rzeczywistości.

Dekoracja L. Torwirta jest zresztą bardzo prosta. Chodziło właśnie o to, żeby nie rozpraszać uwagi widza, a skupić ją całkowicie na zasadniczych sprawach utworu. Tło wzrokowe stanowi tylko ściana rozbita na trzy odcinki, ujęte w czarne kotary. Po obu stronach sali klasycyzujące oddzwia z kolumnkami — świece i pułapy.

Muzycznie całość sztuki (która w teatrze toruńskim grana jest bez antraktu) wiąże powtarzający się wciąż monotonny motyw kreislerowskiego walca. Stwarza on powolny, drażniący swą monotonią rytm taneczny, który trzyma całą salę jakby czarodziejskim zaklęciem.

Dla bliźszego zapoznania widzów z poezją Norwida właściwy dramat poprzedziły recytacje krótszych utworów ułożone tak, aby dać mogły pojęcie o skali problemów i poetyckich możliwości Norwida. („Do obywatela Johna Brauna”, „Rozebrana”, „Pierwszy list, co mnie doszedł”). Fragment z „Promethidiona” wprowadził od razu w zagadnienie sztuki, ważące się w dramacie.

Fantazja dramatyczna Norwida na scenie toruńskiej należy do osiągnięć najwyższej rangi. Jest to na prawdę dzieło wielkiej Sztuki, wypracowane twórczą myślą inscenizatora i zgodnym wysiłkiem artystycznym całego zespołu.

Irena Sławińska

Shaw i Musset na Małej Scenie

Jakkolwiek odnajdujemy w „Mężu przeznaczenia” wiele wyróżniających cech twórczości ex-fabianisty i „narodowego clowna Wielkiej Brytanii”, zwłaszcza śmiałość i żarliwość przekonań, nie posiada on jednak tych karłowatych a zarazem genialnych cudactw zjadliwego sceptycyzmu, charakteryzujących późniejsze utwory G. B. Shawa — wegetarianina i abstynenta, tym więcej rozbrykanego i paradoksalnie młodzieńczego im bardziej zaawansowanego w latach. Dla osobistego porachunku z militarystem nie mógł Shaw obrać lepszego bohatera komedii jak Napoleona, ale też uprościł sobie sprawę o tyle, że obrał ten okres sławy napoleońskiej, w którym nikt nie widział jeszcze powagi, a tym mniej wielkości, ani w wodzu ani w jego armii. Artylerzysta Bonaparte nie był jeszcze wówczas cesarzem, tylko ambitnym generałem I Republiki, który zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że zwycięska kampania 1796 roku bardziej przypominała rewolucyjny pochód bezrobotnych niż regularną wojnę, prowadzoną przez regularne i okryte chwałą późniejszych zwycięstw wojsko. Toteż Shaw użył sobie ile weszło, po swojemu, pół żartem pół serio, przede wszystkim w intrydze równie błyskotliwej jak niewiarygodnej oraz w charakterystyce osób. Nie chodziło mu zresztą o prawdę historyczną (którą częściowo uwzględnił), lecz o filozoficzny ładunek pointy, osadzonej jak wieniec laurowy na głowach drugorzędnych nawet postaci komedii (np. Giuseppe).

Zupełnie inny charakter posiada romantyczna komedia Musseta „Kaprysy Marianny”, odegrana jako druga sztuka tego samego spektaklu przez ten sam zespół; komedia czarująca jak pierwsze wyznanie miłości, żywa jak młodość sama. Nic dziwnego — Musset napisał ją w 24 roku życia, a włożył w nią cały swój talent poety i całą namiętność kochanka. W rezultacie widz nie powinien być wyjść z przedstawienia obojętny, ponieważ obie te miniatury teatralne, każda na swój sposób potrafią błyszczeć i uwodzić. Shaw bojowym impetem walczącego intelektu — Musset delikatnym polyskiem szlachetnej poezji. Tymczasem...

Reżyser obu sztuk, **Władysław Krzemiński**, podjął się trudnej roli związania tak różnych pod każdym względem indywidualności twórczych. Zabrał się do tego odważnie, zwłaszcza Musseta — wbrew twierdzeniu Mieczysława Markowskiego w programie teatralnym — przeniósł w sposób nader swobodny.

Ale trudności nie pokonał. „Mąż przeznaczenia” potraktowany zbyt serio, nie bawił shawowską ekwilibrystyką starc intelektualnych, ale co najwyżej śmieszył nielicznych placakami różu na twarzy głupekatego oficerka, a „Kaprysy Marianny” przypominały raczej kaprysy szekspirowskiej Julii, wyrażonej ze swej roli przez brak Romea. Zastrzegam sobie również prawo zrządzenia pod adresem reżysera, za stosowanie wręcz kabaretowych chwytów (marchew Tibia, kodeks Klaudia), nie dodających sztuce wartości, a ujmujących jej charakteru.

Również aktorom nie wyszła na korzyść zbyt nagła metamorfoza. **Zofia Niwińska** jako Dama w „Mężu przeznaczenia” zdawała się pamiętać o tym, że za chwilę ma zostać Marianną i dopiero, jako Marianna pozbyła się już tego zmartwienia i czarowała prawdziwie romantycznym urokiem. **Władysław Sheybal** lepiej się czuł w roli Oktawa niż Napoleona, ale mam wrażenie, że tęsknił skrycie do roli Celia. Celio natomiast w interpretacji tekstu nie mógł się zdobyć na wymaganą w tej roli szczerłość uczucia, którą **Olgięrd Jaczewicz** stepił nieco w dobrze oddanej postaci Porucznika. Bardzo swobodnym w obu wcieleniach Giuseppe i Klaudia był **Stanisław Winczewski**. Starą kobietę Cziutę reżyser odmłodził co najmniej o lat pięćdziesiąt, każąc ją grać **Zofii Więźlałównie**. Dlaczego? — nie wiem. **Jerzy Fitio** w roli Tibia świetnie parodiował Flipa (tego z filmów amerykańskich). Pachołka z gospody grał **Eugeniusz Lotar**. Inne

postacie zostały wykreślone, co im zresztą wyszło na zdrowie.

Oprawę plastyczną skomponował **Andrzej Pronaszko**, muzykę mussetowskich piosenek w przekładzie L. H. Morstina napisał **Witold Krzemiński**.

Przekładu „Męża przeznaczenia” dokonał szczęśliwie **Florian Sobieniowski**, tłumaczenie „Kaprysów Marianny” takie, jakie mogło wyjść spod mistrzowskiego pióra Boy'a.

Bogdan Butryńczuk

...Nasz redaktor olsztyński pisze o wystawie plastyków na odzyskanej północy...

Otwarcie pierwszej wystawy najnowszej sztuki polskiej w Olsztynie, posiada doniosłe znaczenie. Wystawa olsztyńska Związku Polskich Artystów Plastyków Okręgu Pomorskiego nie ma ściśle sformułowanego regionalnego charakteru. Organizatorom tej wystawy chodziło przede wszystkim o zapoczątkowanie tego rodzaju imprez artystycznych w Olsztynie, w mieście które jest najdalej wysunięte na północny-wschód jako ośrodek życia kulturalnego. Otwarcie jej miało nastąpić znacznie wcześniej, jednak ze względów technicznych, jak i organizacyjnych termin został przesunięty.

Wystawa ma charakter ściśle zespołowy jeśli chodzi o materiał ekspozycyjny i zawiera prace 26 artystów zrzeszonych w oddziale pomorskim Z. P. A. P., który jak wiadomo ma swą siedzibę w Bydgoszczy a oddziały w Olsztynie, Toruniu, Grudziądzu i Inowrocławiu. Nadesłano na wystawę prace 26 artystów — plastyków, ilość prac wynosiła przeszło 60, z czego sporo wystawili artyści — plastycy olsztyńscy a mianowicie: H. Skurpski, J. Zielińska i J. Ilkiewicz. Wystawa urządzona została w salach wystaw czasowych Muze-



H. Skurpski: Portret dziecka (akwarela).

um Mazurskiego w Olsztynie, a jej współorganizator artysta-malarz i kustosz M. Mazurskiego H. Skurpski projektuje urządzenie w najbliższym czasie wystawy czysto terenowej olsztyńskiej oraz w dalszej kolejności wystawę retrospektywną od impresjonizmu do chwili obecnej. Komisarzem obecnej wystawy był prof. Eugeniusz Przybył z Torunia i dzięki jego wysiłkom zostały uwzględnione wszystkie ośrodki pracy artystycznej na Pomorzu. Warto w krótkich słowach scharakteryzować przynajmniej malarzy z ośrodka olsztyńskiego, którzy ze względu na charakter wystawy wybijali się na pierwszy plan.

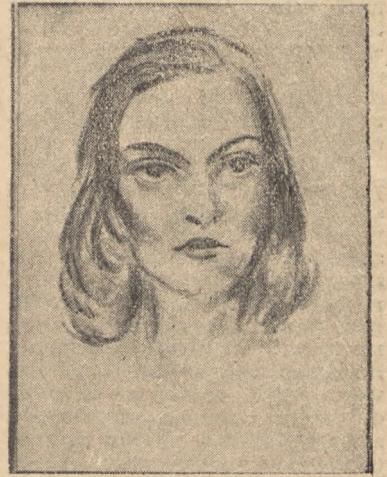
Hieronim Skurpski jest dobrze zapowiadającym się artystą. Jego duże płótno p. t. „Dzieci” cechuje ruchliwa gra żywych kolorów zespolona z żywą zabawą dzieci. Obraz jest ciekawy w ujęciu kompozycyjnym. Pierwszorzędnie przede wszystkim jest uchwycony rytm bawiących się dzieci, ponadto cechuje obraz ten nie banalna technika przy stosowaniu ciekawych efektów świetlnych jakie daje ów obraz p'enerowy. Niemniej ciekawy jest drugi jego obraz, portret chłopca wykonany akwarelą. Jest to zatem w sumie artysta ciekawy, mający

przed sobą duże możliwości rozwojowe i zadatki na przyszłość.

Portrety Zielińskiej polegają na silnych kontrastach barw, które uwidaczniają się zwłaszcza w doskonałym portrecie p. t. „Głowa aktorki S”. Jej „Autoportret” wykonany węglem posiada szereg akcentów silnych, zwartych i nie zwykle oryginalnych. W autoportrecie artystki uderza specjalnie wyglądem partii oczu oraz usta — obydwie elementy niezwykle silnie podkreślone. Natomiast obraz p. t. „Zamek Olsztyński” wykonany olejem jest prawdopodobnie tematyką nową dla artystki, świeżą i jak sądzę — niedostatecznie wypracowaną.

Ciekawy jest też **Ilkiewicz**. Jako młody, utalentowany malarz wznosił się już na poważny poziom. Jego oleje są o łagodnych tonach, lecz pełne wyrazu i świadczą o opanowaniu techniki. Na szczególną uwagę zasługują obraz p. t. „Pół akt” oraz „Portret kobiety”.

Jak z powyższego przeglądu widać, zresztą dość pobieżnego, plastycy olsztyńscy przedstawiają pewną pozycję i skalę artystyczną.



J. Zielińska: Autoportret

na. Tym niemniej **Olsztynowi brak jest paru dobrych specjalistów-pejsażystów**. Pragnęlibyśmy, by z czasem w Olsztynie powstał ośrodek artystów tego pokroju. Motywów ziemie warmijsko-mazurskie mają nieprzebrane bogactwo. Musimy za pomocą sztuki przybliżyć społeczeństwu polskiemu piękno Pojezierza mazurskiego. Dlatego też życzyć by należało, aby z czasem ośrodek olsztyński, skąpy na razie w ludzi pracujących na tym polu — wzrósł wydatnie.

Trzeba na zakończenie wspomnieć o sukcesie tej imprezy w Olsztynie. Tłumy zwiedzających i ufundowanie wielu cennych nagród pieniężnych przez organizację życia zbiorowego i Władze, są najlepszym dowodem doceniania sztuki przez społeczeństwo olsztyńskie. Trzeba wreszcie wspomnieć o estetycznym wydaniem katalogu, który świadczy o poziomie organizacyjnym tego niezwykle cennego przedsięwzięcia kulturalnego.

Jerzy Antoniewicz

Nowości Wydawnictwa AWIR

JANUSZ MEISSNER

NA AFRYKAŃSKIM SZLAKU

Wszystkie te opowiadania starał się autor pozostawić w takiej formie, w jakiej mu je podali koledy, którzy bezpośrednio brali udział w przedstawionych tu wypadkach. Chodziło mu o zachowanie tego tonu i tego sposobu mówienia, jakim posługują się lotnicy; o utrzymanie ich zwięzłości w opowiadaniu doznanych przygód i wrażeń, o bezpośredniości tych wrażeń i przeżyć...

ZBIGNIEW GRABOWSKI

ANNA (161)

Akcja tej powieści reprezentująca najwyższą klasę literacką rozgrywa się w Alpach szwajcarskich, w atmosferze górskich szalaśców, schronisk i hoteli, w nieustannej walce z dziką przyrodą i bezwzględnością miłością.

Żądać we wszystkich księgarniach

Wśród czasopism

Przychodzi nam dziś powitać na tym miejscu starych znajomych, z którymi pożegnaliśmy się przed niedawnym czasem, wróżyć z ich odeszcia nadchodzący kryzys prasy periodycznej w Polsce. Starymi znajomymi są w tym wypadku warszawskie „Pokolenie”, które przestało wychodzić pod koniec listopada ub. r., oraz lubelski „Zdrój”.

Jedno i drugie pismo nasuwało sporo uwag krytycznych, obydwa miały dużo niedomagań, ale fakt, że obydwa zdołały przetrwać kryzys, jest dowodem, że nie jest tak źle z czasopiśmiennictwem literackim w Polsce, jak się wydawało. Znaczący to, że jest jeszcze miejsce na periodyki literackie, że są warunki na ich utrzymanie. Nie należy się jednak przy okazji tego rodzaju stwierdzeń poddawać zbyt niemiernemu optymizmowi. Reaktywowanie tych dwóch pism jest niewątpliwie wynikiem ambicji pewnych środowisk (w pierwszym wypadku środowiska ideologicznego, w drugim regionalnego), rezultatem starań i zabiegów pewnych ludzi. Ważne jest teraz, jak te ambicje będą się realizowały w dalszym ciągu z numeru na numer w jakim kierunku pójdą dalsze zabiegi i wysiłki organizatorów tych periodyków, sprawców ich wskrzeszenia.

„POKOLENIE” przeżyło chyba pewien kryzys wewnętrzny, coś się tam od środka rozprężyło, w wyniku czego pismo na dwa miesiące znikło. Przypuszczenie to zdaje się potwierdzać artykuł wstępny Włodzimierza Sokorskiego w pierwszym wznowionym numerze pt. „O istotę przelomu”. Artykuł ten jest wyraźnie adresowany jakby trochę ex cathedra do młodych „towarzyszy wałki z szeregów AK” i wytyka dotychczasowemu „Pokoleniu” pewne braki, których usunięcie jest warunkiem dalszego istnienia grupy i jej rozwoju. Artykuł p. Sokorskiego w pierwszej części, dotyczącej współczesnej problematyki literackiej napisany jest inteligentnie, z pewną znajomością rzeczy, z umiarem i rozsądkiem. Nie bardzo jednak jest z nim powiązana część druga, ideowa, która nie łączy się organicznie z częścią pierwszą. P. Sokorski stwierdza, że rewolucje, jakie zaszły w Europie na przestrzeni XX w. „natrafiają na psychologię poszczególnych twórców na głębokie opory natury psychicznej, tradycjonalistycznej i urazowej”. Piszcie następnie, że „złożony i trudny jest proces świadomego kształcenia przelomu kulturalnego, nie zawsze równoległego do przelomu natury społecznej”.

„Możemy nawet zaryzykować twierdzenie — pisze autor —, że dopóki epoka nie wytworzy swego własnego formalnego wyrazu, nie może mieć pretensji do pełnego rozstrzygnięcia zagadnień sztuki w płaszczyźnie swoich już dokonanych nieraz przeobrażeń społecznych”. Te oczywiście słuszne i zasadniczo nie nowe tezy cytuję tu celowo, gdyż pochodzą one od człowieka, który zajmując poważne stanowisko w polskim ruchu zawodowym, z którego wypowiedziami na aktualne tematy literackie spotkał się niejednokrotnie. P. Sokorski wydaje się specjalnie powołany i kompetentny do ujęcia w swe ręce w ramach ruchu zawodowego spraw literatury i sztuki i to zarówno w tym sensie, by pokierować inicjatywą związków zawodowych na tym polu, jak i w tym, by zająć się wywalceniem pracownikom sztuki zrzeszonym w związkach zawodowych należnego im miejsca i należnych im praw, które stanowią dotychczas tylko długi, gaj rejestr pięknych obietnic jak najdalszych od realizacji.

Jeśli chodzi o problem „Pokolenia” p. Sokorski zarzuca tej grupie niezdolność czy niechęć w przezwyciężaniu przeszłości, który to zarzut zresztą generalizuje, kierując go do całej inteligencji polskiej, pisząc: „Inteligencja polska w masie swojej w najlepszym razie stara się przystosować do rzeczywistości, ciągnie się w ogonie wydarzeń, wyczekuje, czasami potakuje, ale nie próbuje przełamać w sposób twórczy osadę przeszłości. Trudno mówić o przełomie ideologicznym, gdy naj-

młodsze pokolenie literackie występuje z hasłem neopozytywizmu, praktycznego racjonalizmu”. P. Sokorski domaga się od „Pokolenia” wyrobienia sobie „perspektywy wydarzeń” wyprzedzającej się z zupełnie nowego wątku, z zaprzeczenia tego, czym żyły pokolenia poprzednie. Zbyt tylko ogólnikowy i niewiele mówiący jest apel końcowy artykułu, mówiący o wolności takiej, jakiej nam trzeba. P. Sokorski pisze: „Wolność, koledzy, to nie jest zagadnienie „wolności dla wolności” czy też wolności dla poszczególnych elementów życia, to jest wolności od strachu, wolności od głodu, wolności od cierpienia itd. Jedyną drogą do wolności jest droga poznania, a w następstwie opanowania praw przyrody, swoich własnych instynktów i praw rządzących społeczeństwami”.

Ten wolnościowy program p. Sokorskiego jest dostatecznie niejasny, by odrodzone „Pokolenie” nie mogło się nim głęboko przejąć i nie mogło go realizować.

„Pokolenie” ma dosyć wąską bazę, zbyt mało skupia wokół siebie ciekawszych indywidualności, by stać się mogło w obecnym stanie rzeczy ośrodkiem fermentacji dla młodej myśli literackiej w Polsce. Znajdziemy tam grupę czterech do pięciu młodych pisarzy, którzy w dodatku nie wykrystalizowali się ideowo w sposób poważny i taki, który mógłby być uznany za obowiązujący, i nie znaleźli dla siebie drogi artystycznej. P. Sokorski w swojej krytyce ich postawy wobec współczesnej rzeczywistości ma niestety dużo racji. Ta sama racja znajduje się w krytyce ich postawy artystycznej.

W omawianym numerze „Pokolenia” zwraca uwagę zbyt może obszerny, ale sumienny artykuł Romana Bratnego pt. „Literatura, ale jaka?”, mający tę zaletę, że zachęca do dyskusji i daje dużo materiału. Inny szczegół z tego numeru to fakt, że p. Tadeusz Borowski przeniósł się ze swoimi „krytykami” z „Kuźnicy” i tym razem popisuje się w „Pokoleniu” recenzją z książki Zofii Kossak „Z otchłani”. Omawia on oświeceniowskie wspomnienia świetnej powieściopisarki pod tytułem „Alicja w krainie czarów”. Jest rzeczą wiadomą, że ten pamiętnik nie dorównuje twórczości powieściopisarskiej autorki „Krzyżowców” i „Złotej wolności”, że jest słabszy od jej debiutu, „Pożogi”, ale forma krytyki p. Borowskiego jest wręcz nieprzyzwoita. To nie krytyka literacka, nie twórcze i uczciwe ustosunkowanie się do omawianego dzieła, lecz kpiny, przy czym te kpiny stanowią założenie i cel omówienia. P. Borowski przypomina tego malca, który posiadłszy cudowną sztukę pisania zaczyna popisywanie się nią od gorszenia swoich zamarkanych kolegów wymalowywaniem na płotach i murach gorszących i nieprzyzwoitych wyrazów. Dlatego można na to patrzeć spokojnie. Wyrośnię z tego, wyrośnię. Uspokoń się zaś na pewno, gdy mu ktoś poważnie i uczciwie zrabie jego pierwszą książkę, która się znów tak bardzo genialnie nie zapowiada.

Wznowiony „ZDRÓJ” przynosi rozczarowanie. Jednak ten ranniej, nie miał tak rażących niedociągnięć. Odnosi się wrażenie, że i tam w Lublinie zaszła jakaś wewnętrzna rewolucja pałacowa w światku literackim, na skutek której i „Zdrój” się przeobraził w niewiadomo co. Redakcję objął Stan. K. Papierkowski, który w pierwszym numerze wznowionego pisma dał kołumnę bardzo słabo dobranych pisarzy chorwackich. Oryginalna proza Joanny Modrzejewskiej poniżej poziomu lichego kalendarza. K. A. Jaworski napisał zbyt popularny i zbyt powierzchowny artykuł „Szczyty poezji rosyjskiej”. Artykuł Pawła Gduli o młodości Andrzeja Struga, tak potrzebny wobec zaniedbań, jakie mamy w opracowaniach tego pisarza, poza ustaleniem pewnych dat i faktów biograficznych powtarza wspomnienia o Strugu Adama Szełagowskiego, a zawiera przy tym taki passus stylistyczny: „Tadeusz był aktualnie synem kupieckim

ale i szlacheckim, co potwierdza ją księgi rodów szlacheckich...” Przegląd czasopism i kronika teatralna to już niemal śmietnik. Zawiera on przeważnie tylko treść poszczególnych numerów tygodników z różnymi śmiesznymi wtrętami w rodzaju: „Caoś po prawą redakcyjnie psuje umieszczona na str. 5 autorka reklama w postaci wybitnych tłustym drukiem nazwisk autorów, których utwory ukazały się dotychczas na łamach „Warszawy” (o tygodniku „Warszawa”), albo: „W dziale recenzji K. Brandys omawia książkę Z. Nałkowskiej „Medaliony” (w olimy recenzję Wyki z nr 3 „Odrodzenia”).

Umieszczona na wstępie numeru zapowiedź redakcji, czym to będzie wznowiony „Zdrój”, ma się tak do treści pierwszego numeru, jak pięść do nosa. (ki)

Co »Winien« a co »Ma«

Spokojniejszy głos „Trybuny Robotniczej” (z dnia 11. 2.) w sprawie „ożywienia życia literackiego Śląska” pozwala na kilka słów odpowiedzi. Jest rzeczą pewną, że literatura polska nie trafiała do robotnika ale to nie tylko na Śląsku lecz w całej Polsce literatura daleka jest masom. Którzy z literatów krakowskich i którzy z „kuźniczan” nawiązali taki kontakt z masami, że można mówić o przenikaniu literatury w masy robotnicze? Obawiam się, że robotnik nigdy nie pojmie inteligentnych, wykształconych na mieszczańskich dyskusjach rozważań Żółkiewskiego czy Kotta, choćby najbardziej dialektycznie podanych. Zresztą nie o to przecież chodzi, żeby Kott pisał dla robotnika, bo tego Kott nie nauczył się nigdy i bynajmniej mu to ujmę nie przyniesie; wystarczy, gdy teoretycznie będzie rozważał ten problem, dopomagając tym samym w rozwiązaniu go.

„Gdzież na tym robotniczym Śląsku literaci znajdują z masami wspólny język...” — pisze pseudonim. Chcę udowodnić, ile jest demagogii w tym orzeczeniu. Chcę udowodnić, jak bardzo literaci śląscy wyprzedzili całą Polskę w nawiązaniu szczeremu kontaktowi z masami robotniczymi. Chcę udowodnić, jak bardzo śląscy właśnie pisarze — umieli w celu nawiązania tego kontaktu wykorzystać takie urządzenia Polski Demokratycznej jak świetlice robotnicze, Domy Kultury, nie mówiąc już o aulach gimnazjalnych.

W ostatnich dwóch miesiącach urzędził Związek Zaw. Literatów Polskich Oddział Śląski w następujących miejscowościach wieczory literackie:

4. 12. 1946 u robotników huty „Pokój” w Nowym Bytomiu, 7. 12. 46 w Mysłowicach w gimnazjum, 10. 12. 46 u robotników firmy Meyerhold w Będzinie, 11. 12. 46 u robotników fabryki Deichsel w Sosnowcu, 5. 12. 46 w gimnazjum i liceum w Nowej Wsi, tego samego dnia wieczorem u robotników huty „Bankowej” w Dąbrowie Górniczej, 8. 12. 46 w Wojskowych Zakładach Motoryzacyjnych w Siemianowicach, 11. 12. 46 dopołudnia w gimnazjum i liceum w Będzinie, 12. 12. 46 u robotników huty „Katarzyna” w Sosnowcu, 14. 12. 46 w Zakładach Hutniczych w Szopienicach, 15. 12. 46 w hucie cynkowej w Wełnowcu, 16. 12. 46 w hucie w Łąbędach na Opolszczyźnie, 19. 12. 46 dopołudnia w gimnazjum żeńskim w Chorzowie, wieczorem zaś w tymże Chorzowie w hucie „Kościuszko”. Tyle w grudniu, w styczniu zaś: 4 — w fabryce Zieleńskiego w Dąbrowie Górniczej, 12 — u robotników zakładów braci Klein w Dąbrowie Górniczej, 16 — u robotników fabryki Koetz w Mikołowie, 18 — u robotników firmy Münstermann w Katowicach, 21 — u robotników fabryki Erbe w Zawierciu, 26 — u robotników fabryki maszyn emaliowanych w Olkuszu (szczególnie serdeczne przyjęcie).

Cóż na to pseudonim? Większość wieczorów i programów od-

Z teatru bielsko-cieszyńskiego



Ostatnią premierą teatru bielsko-cieszyńskiego była wystawiona w dniu 30 stycznia 1947 Wiktoryna Sardou „Madame Sans-Gene”. Dekoracje Feliksa Krassowskiego, reżyseria Stanisława Kwaskowskiego.

była się na terenie Zagłębia Dąbrowskiego, dziwne zatem, że głos, stwierdzający bezczynność grupy „magów” i brak kontaktu z masami robotniczymi, podała „Trybuna Robotnicza” właśnie jako „głos Zagłębia Dąbrowskiego”. Czy po to, by dopełnić się miara kłamstwa? Stwierdzamy na tym miejscu, że robotnicy Zagłębia Dąbrowskiego wszyskie nasze wieczory przyjmowali z niekłamną radością, równie podobały im się wiersze Broniewskiego jak proza Żukrowskiego, nie brak było także wzruszających momentów, gdy po recytacjach robotnicy przychodzili dziękować i zapraszać na nowy wieczór. O tym wszystkim może się pseudonim przychodzić do głosu i zapraszać na nowy wieczór. O tym wszystkim może się pseudonim przychodzić do głosu i zapraszać na nowy wieczór. O tym wszystkim może się pseudonim przychodzić do głosu i zapraszać na nowy wieczór.

To byłyby rzeczy najważniejsze. Wspomniany „głos” — podkreślam nadal obiektywnie, że w formie dość spokojnej, umożliwiającej teoretyczną dyskusję — mówi jeszcze o wielu innych sprawach.

Tydzień Katowic

4. II. — 12. II. 1947 r.

ZYCIE LITERACKIE:

8. II. W Studium Literackim przy Z. Z. L. P. Jalu Kurek wygłosił prelekcję p. t. Studia Literackie. 10. II. W ramach 45 Wieczoru Klubu Literackiego przeprowadzono dyskusję nad filmem „Zakazane piosenki”. Zagaił dyskusję Aleksander Baumgarten.

TEATR:

7. II. Na „Małej Scenie” premiera Shaw’a „Maż przeznaczenia” i Musseta „Kaprysy Marianny”. Reżyseria W. Krzemiński. Dekoracje — Pronaszko. 8. II. Na spektaklu „Dwu teatrów” obecny Jerzy Szaniawski. Publiczność gorąco oklaskiwała autora tej pięknej sztuki.

ZYCIE MUZYCZNE:

7. II. IX-ty koncert symfoniczny orkiestry Filharmonii Państwowej. Wykonano: V symfonię Czajkowskiego, poemat symfoniczny „Uczeń czarnoksiężnika” — P. Dukasa i koncert wiolonczelowy J. A. Maklakiewicza (I katowickie wykonanie). Dyrygował W. Krzemiński. Solista — Dezyderiusz Danczowski (wiolonczela).

INNE:

12. II. odbyło się zebranie organizacyjne „Śląskiej Spółdzielni Wydawniczej”. Przyjęto statut, wybrano Radę Nadzorczą i Zarząd Spółdzielni. Ukazał się pierwszy numer czasopisma „Śpiewak”.

Najlepszy barwnik do wszelkich materiałów, to

„ORION”

Składowa Fabryczna Katowice ul. Starowiejska 3. Tel. 354-64.

Zespół „Odry” określa jako „nija-ki ideologiczne”. Wydaje mi się, żeśmy już nieraz stwierdzili wyraźnie, iż jesteśmy pismem o swia topogładzie chrześcijańskim. Czy na tym polega jego „nija-kość”? Chcę tu jeszcze dodać dla uspokojenia pseudonimusa, że jesteśmy katolikami chętnie wyciągającymi dłoń do marksistów, bo podoba nam się wiele ich reform, bo uznajemy wiele ich wysiłków przy odbudowie polskiego życia państwowego i pomagamy im szczerze w tych wysiłkach. Ale nie pozwolimy się nazywać mieszczańską inteligencją, skoro większości z nas młodość upłynęła pod znakiem dymu kopalnianego, bezrobocia ojca robotnika, woni jego górniczego kabatu i skałego żuru na obiad, przerywanej z braku pieniędzy nauki gimnazjalnej, pod znakiem wspólnego przeżywania strajków i jeszcze pod znakiem wojaczki powstańczej, na którą odprowadzało się ojca z tym właściwym dzieciom radosnym podenerwowaniem i ciekawością. Tymczasem jeden z waszych poetów recytujący po kawiarniach i na balach, na których jak za „dobrych” sanacyjnych czasów obiera się królów balu (vide „Astoria” bal kinofikacji) w młodości swej liczył pieniądze ojca fabrykanta. Kto tu zatem jest mieszcuchem, do pierona?

Przepraszam za te rodowe wypowiedzi, ale, — choć przeciw nie to jest istotne, jakiego kto jest pochodzenia — zmusiła mnie do tego uwaga pseudonimusa o mieszczańskie inteligencji „Odry”. Zaś co do tego, czy twórczość nasza nadal jest robotnicza z ducha, zostawmy to samym robotnikom albo odpowiednim krytykom ale nie pseudonimusom.

Z tym wszystkim co powiedziałem wyżej, życie literackie na Śląsku potrzebuje naturalnie dalszego ożywienia. Zgadza się zupełnie z pseudonimusem, że trzeba umożliwić debiuty młodzieży literackiej pochodzenia robotniczego. Pseudonimus nie zauważył tylko, że „Odra” wiele już takich debiutów ogłosiła, co wywołało dąsy „kuźniczan”, że propaguje się tak mizerną poezję. Tę „mizerną” poezję propagować będziemy nadal dlatego właśnie, że tworzy się ona w robotniczych izbach. Jestem bowiem przekonany, że dobrą wolą redakcji wynagrodzą wkrótce sami ci robotnicy autorzy rozwojem swego talentu.

Geografia literacka Śląska, jaką nakreślił pseudonimus, jest po dziennikarsku uproszczona, mam jednak wrażenie, że istnieją możliwości współdziałania i zgody, o ile tylko przyjmie się demokratyczną zasadę, że wszystkie reakcyjne stanowiska ideowe są równie wartościowe, równie twórcze, równie potrzebne. Taką jest i nasza postawa, chrześcijańska postawa zespołu „Odry”. I aż dziw, że o takie jej uznanie musimy walczyć na odcinku śląskim, skoro nastąpiło to już w skali ogólnopolskiej z ust Prezydenta Rzeczypospolitej.

Wilhelm Szewczyk

Wydaje Sp. Wydawn. „Czytelnik”. Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry”. Redakcja: Katowice, 3-go Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Administracja: Katowice, 3-go Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwartalna 120 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wydaw. „Czytelnik”, 3-go Maja 12. Złożono i oddito w drukarni nr 9 Sp. Wydawn. „Czytelnik”, Katowice, 3-go Maja 12. R 37020